Nr. 47 (1143). Warszawa, 9 (22) Listopada 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po undesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Wilhelm II w Anglii.

Wycieczka tegoroczna cesarza niemieckiego do Anglii była odrazu dla opinii publicznej w Europie podejrzaną. Wprawdzie dostojny kuzyn miał obowiązek odwiedzić Edwarda VII; wprawdzie dynastyczna potrzeba ożenienia następcy tronu niemieckiego, mogła niewinny zupełnie cel na pierwszy plan wysunąć: nie zatrzymano się jednak przy obu tych momentach logicznych, aby z nich wysnuć istotną pobudkę — sięgnięto dalej i głębiej. Nigdy jeszcze prasa angielska — rzeczywisty głos instynktów i mniemań narodowych w polityce bieżącej — nie witała gościa w Sandringham z taką jak obecnie niechęcią; bo nigdy też nie witała w nim tak jak obecnie krzywdziciela Anglii. Ta okoliczność, że krzywda była świeżą, dopiero co wyrządzoną, i że nie wstrzymała odwiedzin, musiała jeszcze rozognić niechęć przez dziennikarstwo żywioną. Doszło do tego, że Balfour w wielkiej mowie z d. 10 b. m. ratując przyzwoitość, umyślny ustęp poświęcił przyjazdowi Wilhelma II, literalnie wziętemu przez dziennikarzy w prasę.

Krzywda, która taką goryczą mimo konwenansów szanowanych przez Albion, dzienniki angielskie zaprawić zdołała, nie przedstawia się dość jasno; jest raczej sumą krzywd, z których jedna tylko zarysowuje się wyraźnie, a pada w obręb stosunków z Chinami. Niemcy powinnyby już wyprowadzić swą załogę z Szanghaju, a nie czynią tego w jakichś skrytych zamiarach. Dyplomacya angielska dowiedziała się, że właśnie ze trzy tygodnie temu zawarły umyślną umowę z Chinami dla zapewnienia sobie wzdłuż całego żeglownego dla Europejczyków Jang-tse-kiangu — korzyści większych, niż je posiada Anglia, która przecież od sześćdziesięciu lat już pracuje w Chinach nad rozszerzeniem swej handlowej i politycznej potęgi. O umowie nic pewnego nie wie dziennikarstwo, ale wiedzieć może, dzięki przeszpiegom dyplomatycznym, rząd angielski. Dla rządu nie jest jeszcze umowa krańcowo niebezpieczną, bo nie jest nieodwołalną: ma on przed sobą drogę nacisku na Pekin, której już w innych stosunkach z powodzeniem używał; może wyjednać zerwanie kontraktu z Niemcami. Przytem w każdej sprawie dyplomatycznej jest możność zobojętnienia krzywdy korzyścią: Anglia pozwoliłaby Niemcom korzystać z przywilejów nadanych im przez Chiny, ale wzamian zapewniłaby sobie inne, nie mniejsze od niemieckich.

Rząd przeto mógł ze spokojem patrzeć na krzywdę; dziennikarstwo musiało odrazu wybuchnąć, choćby na przestrogę rządowi. Kto ani Niemcem, ani Anglikiem nie jest i ani u Niemca, ani u Anglika nic zarobić się nie spodziewa, ten zada sobie przedewszystkiem pytanie: jakiego to rodzaju krzywdą byłoby pozyskanie przez Niemców uprzywilejowanego na Jang-tse-kiangu stanowiska? Umowa zawarta między Niemcami a Anglią d. 16 października 1900 r. w Londynie, w artykule pierwszym otwiera wszystkie rzeki chińskie; a więc i Jang-tse-kiang, dla wszystkich narodów, zatem znosi dawniejszy monopol angielski, nie wzbraniając bynajmniej żadnemu z tych wszystkich narodów wyrabiać sobie przywilejów u rządu chińskiego, którego najwyższowładztwo przez umowę żadnej skazy doznać nie mogło. Umowa z r. 1900 bynajmniej nie zastrzega współdziałania przy wszelkich układach o żeglugę i handel wewnętrzny z Chinami, bynajmniej nie krępuje ani jednej, ani drugiej strony przy działaniu na własną rękę. Jeśli Niemcy, z tej prawnej możności korzystając, coś uszczknęły, czego nie ma Anglia, jej własna wina, że ich nie wyprzedziła; jeśli stała się krzywda, to nie teraz dopiero, ale już w r. 1900, kiedy Anglia, wpuszczając wszystkie narody, wpuściła na Jang-tse-kiang i Niemców.

W r. 1900 nie było krzywdy; była tylko zapłata za przysługę. Rdzeń umowy ówczesnej nie tkwił w żegludze i handlu rzecznym: dążeniem Anglii, interesem jej najgorętszym było oparcie się wszelkiemu rozbiorowi Chin; a ponieważ Niemcy przyrzekły jej swą pomoc dyplomatyczną w sprawie utrzymania całości terytoryum chińskiego, więc jako wynagrodzenie za tę pomoc Anglia uznała rzeki chińskie za otwarte dla wszystkich narodów, przez co samo wpuściła na nie i Niemcy. Tak się przedstawia „krzywda" angielska. W zamian i cesarz Wilhelm mógł również przywieźć w tece swojej „krzywdę niemiecką." Taką krzywdą byłoby skorzystanie przez Anglię z dawniejszej już umowy z Portugalią o Lourenço-Marquez i zatokę Delagoa. Gdyby teraz Anglia użyła swego prawa pierwszeństwa, a król Karol dla poratowania nietylko państwa, ale i dworu swego, znajdującego się w finansowej niedoli, kolonię lub część jej sprzedał — Niemcy krzyknęliby również, że im się dzieje krzywda, choć w zasadzie podobno się już dawniej na uprzywilejowanie Anglii w Delagoa-bay zgodziły. Krzywdą jest zawsze to, co ma inny, a czego „skrzywdzony" mieć nie może. Polityka, nigdy nie syta, wiecznie łaknie.

Z Austryi.

Wiedeń, 18 listopada.

Punkt ciężkości Austryi. — Oświadczenie Korbera. — Żądania studentów południowo-słowiańskich i rozporządzenie ministra oświaty Hartla. — Znaczenie tych faktów.

Jeszcze Bismarck w r. 1866 radził Austryi, żeby „punkt ciężkości“ swój przesunęła za Litawę. Ta rada żelaznego księcia polegała na trafnem spostrzeżeniu, że Austryi usunęła się z pod nóg podstawa niemiecka i że zatem państwo to na Niemcach już się opierać nie może. Z drugiej strony jednak Bismarck, choć wielki i bystry polityk, mylił się grubo, sądząc, że punkt ciężkości państwa jest rzeczą, którą rząd dowolnie może suwać i przesuwać. Tymczasem jest on koniecznym rezultatem warunków społeczno-politycznych; tych żaden rząd ani zmienić, ani pousuwać nie może; musi je przyjąć, jakie są i do nich się zastosować. Czy rząd wiedeński chce, czy nie chce, punkt ciężkości Austryi leży w jej ludach słowiańskich, a fakt ten historyczno-polityczny od czasu odłączenia Austryi od Niemiec coraz wyraźniej występuje zwłaszcza w Przedlitawii. Ministerya się zmieniają, ale rozwój społeczno-polityczny zachowuje stale ten sam kierunek ku zesłowiańszczeniu Austryi. Jest on prostym i koniecznym wynikiem naturalnego „punktu ciężkości“ Austryi, który leży dziś w jej ludach słowiańskich. Kto śledził bacznie rozwój Austryi w ostatniem czterdziestoleciu, ten o tem wątpić nie może. A najciekawsze to, że stanowcze kroki w tym właśnie kierunku robią najczęściej ministrowie niemieccy—czy chcą, czy nie chcą. Bo taki kierunek rozwoju państwa nie zależy od ministrów, lecz raczej kroki ministrów zależą od niego.

Do uwag tych uprawniają nas drobne na pozór zdarzenia, które zaszły tutaj w ostatnich tygodniach.

Przedewszystkiem zapisać trzeba znaczący fakt, że minister niemiecki, Korber, w mowie swojej w przeszłym tygodniu o sprawie językowej przyznał w parlamencie, że w Austryi język niemiecki nie może być uznany za *państwowy.* Tego dotąd jeszcze ani Taaffe, ani Badeni, ani żaden minister Czech nie miał odwagi wprost oświadczyć. Trzeba było Niemca-Körbera, żeby się zdobył na wypowiedzenie tego, co jest prostym wynikiem rzeczywistych stosunków.

Przytoczę drugi podobny fakt nie mniejszego symptomatycznego znaczenia. Słowianie południowo-austryaccy (Słowieńcy, Chorwaci, Serbowie) nie mają dotąd w Austryi uniwersytetu swojego. Zmuszeni są uczęszczać na wszechnice niemieckie i zdawać egzaminy po niemiecku — *albo po włosku!* Była to jawna niesprawiedliwość, zostająca w sprzeczności z § 19 ustawy zasadniczej, że wszystkie narodowości w Austryi są równouprawnione. Przeszłego roku studenci południowo-słowiańscy domagali się założenia wszechnicy słowiańskiej w Lublanie! Rząd obiecał uwzględnić ich słuszne żądanie. Zanim jednak to nastąpi, studenci słowiańscy żądali, aby im przynajmniej wolno było uczęszczać i zdawać egzaminy na wszechnicy zagrzebskiej, i aby te studya i egzaminy zostały w Przedlitawii uznane i równouprawnione ze studyami i egzaminami przedlitawskimi, czego dotąd nie było, bo Węgry (wraz z Chorwacyą) uchodzą w Austryi za „zagranicę.“

Otóż czego dotąd ani Taaffe, ani Badeni, ani żaden minister Czech przeprowadzić nie mógł, to nareszcie za ministra Korbera „wiernokonstytucyjny“ minister oświaty, Niemiec Hartel, zrobić musiał. Rozporządzeniem z d. 10 października r. b. uznał on studya i egzaminy prawnicze, odbywane i składane w uniwersytecie w Zagrzebiu, za *ważne* w Austryi, tak że odtąd południowo-słowiańscy studenci prawa mogą studya swe odbywać i egzaminy zdawać w Zagrzebiu, a świadectwa ich tamtejsze będą uznawane za ważne w Austryi. Wyłącznie tylko z tych przedmiotów prawa austryackiego, których się nie wykłada w Zagrzebiu (procedura cywilna austryacka, prawo administracyjne austryackie) będą oni musieli zdawać egzamin dodatkowy przed osobną w tym celu powstać mającą komisyą egzaminacyjną w Wiedniu, i to *w języku chorwackim.*

To na pozór drobne ustępstwo ma wielkie znaczenie. Bo naprzód studenci prawnicy południowo - słowiańscy nie są już zmuszeni do studyów i egzaminów w języku niemieckim, a powtóre pierwszy to raz się dzieje, że język chorwacki (a tem samem słoweński!) przypuszczony zostaje w Austryi jako egzaminacyjny studyów uniwersyteckich.

Bodaj takie dwa fakty: oświadczenie Körbera i rozporządzenie Hartla, wskazują dostatecznie kierunek rozwoju społeczno-politycznego Austryi; kierunek zaś wskazuje dostatecznie, gdzie leży „punkt ciężkości“ tego wielonarodowościowego państwa. Leży on w jego podstawach narodowo-słowiańskich, nie z woli tego lub owego rządu, nie wskutek polityki tego lub owego ministra, ale wskutek istotnego stanu rzeczy, mianowicie: przewagi liczebnej narodowości słowiańskiej, które przyszły do poczucia i uświadomienia narodowego. Tak na rzecz się zapatrując, nietrudno odgadnąć przyszłe koleje rozwoju Austryi. Zawisły one od rozwoju kulturalnego i społeczno-gospodarczego jej ludów słowiańskich. Przyznać trzeba, że na drodze ku temu rozwojowi pierwsi dzisiaj w Austryi kroczą Czesi; oni wiedzą, czego chcą, i mają cel jasny przed sobą. Stąd stanowczość i energia ich przedstawicieli w radzie państwa. Niestety, nie można tego samego powiedzieć o Kole polskiem w Wiedniu. Ale kierunku rozwoju Austryi i Koło polskie zmienić nie może. To całe szczęście!

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na bankiecie dorocznym nowego lorda mayora Londynu, d. 10 b. m., miał Balfour, jako prezes rządu, doroczną mowę. Wojna w Afryce dowiodła, że Anglia pragnie pokoju, ale umie i wojnę prowadzić i w nowej potrzebie poniesie nowe, choćby największe ciężary. Wątpliwość, zali kolonie pospieszą z pomocą — wypadki szczęśliwie rozwiązały: macierz może liczyć na swe dzieci. Chamberlain na miejscu wszystko jak najlepiej urządzi. Prasa pozwala sobie na wycieczki przeciwko dostojnemu gościowi króla (chodzi tu o cesarza Wilhelma, który ponad przewidywanie bawił jeszcze d. 19 b. m. w Anglii); minister ma obowiązek ją skarcić. Bombą o współdziałaniu wszystkich narodów cywilizacyi chrześciańskiej dla utrzymania i zapewnienia ludzkości szczęścia i do-

2)

Janina Baudouin de Courtenay.

ŚLUBY.

(Z dalekich ech).

Gdzie tylko oko dosięgnie — bezbrzeżny łan białych lilij... I żadna stopa ich nie gniecie, tylko wietrzyki pieściwe muskają dziewicze główki kwiatu Maryi. A jednak liczny dwór Pani zwolna przepływa po tych srebrzystych zagonach orszakiem skrzydlatym a lekkim, jak owe chmurki leciuchne. I jakich dygnitarzy, jakich-że książąt spostrzega wzrok, oślepiony tym majestatem! Kolana się zginają, czoło się chyli ku ziemi, choć niecierpliwe oczy pragną widokiem przedziwnym się sycić... Na samym przedzie!.. to gwiazda Padwy promienna!.. to on.. Antoni!.. A obok niego jaśnieje seraf z Asyżu, tak słodki, łez pełen, jakby miał tulić znowu do piersi wszystką nędzę ziemi... Tam.. dalej.. sunie już wielka ławica, w stalowe zbroje zakuta, choć ich ciężaru nie uczuwa już tutaj, a wódz ją wielki prowadzi z płomieniem boju świętego w rozkazujących renicach, z krzyżem wysoko wzniesionym w prawicy — i z drugim krzyżem, na piersiach! To możny z Clairvaux przywódca... W chwale zwycięztwa wiedzie dziś legie święte. Jak wielkie mnóstwo dzid zjeżonych, sterczą wśród nich wielkie pióra palmowych liści. Legion ten ciągnie od ziemi Chrystusowej, od wrzących piasków pustyni, od płowych wód Genezarethu. Nad nim płomienna wizya archanioła — pogromcy na skrzydłach, krwią zbryzganych, unosi się wspaniale... Pochód to tryumfalny, lecz już nie krwawy. Precz ostre miecze! Palmy i krzyże w ich dłoniach... Tu jakiś młodzian przepiękny z tak znaną, tak drogą twarzą, legł na promiennych szafirach, niby w sennem marzeniu... Szczepan... Święty Szczepan z wielkiego płótna w naszym bocznym ołtarzu! Tylko tam, na obrazie, ulewa z głazów krwawi wybrańca, — tu zaś deszcz róż wonnych rzuca jutrzniane zorze na blade jego ramiona... Boże! na progu bram niebieskich pierwszy Namiestnik Pański. U stóp wielkiego furtyana rozpostarł się ciężki krzyż olbrzymi — i kędzierzawy cały od bujnych splotów lilij i wawrzynu... Wszyscy tu oni... Zewsząd się wychylają błogosławione, nieśmiertelne oblicza. Od złotych gloryj, od słonecznego jaśnienia wybrańców, oczy się mrużą i gasną....

...Ku innej stronie, ku jakiejś śnieżnej, przezroczej bieli olśniony wzrok podąża, by spocząć od blasków zbyt wielkich... Skromna, przeczysta biel cicha... Ach! i w niej się rzeźbią jakieś postacie... niewieście tylko.. powiewne.. rozmodlone... dziewice — męczennice święte... Tu Katarzyna i Barbara w rzewnem, siostrzanem objęciu — rajsko spoczęły po znojach umęczenia. Czoła ich toną w palmach szemrzących, a śnieżne stopy w liliach...

...Korony palm nagle się pochylają w nizkim ukłonie, lilie szeleszczą od dziwnie — słodkich podmuchów... Z głębi lazurów toczy się obłok różany i ciemne chmurki ptaszą bożych... Fruwają w nim niemowlęta pośród słowików i skowronków, i wspólny ich szczebiot srebrzystym chórem rozbrzmiewa...

...Oto coś błyska nad niemi... Łódź spływa z góry, niby olbrzymi sierp dyamentowy... łódź, wykrojona z księżyca... Rozlega się wspaniały hymn niebieski... z jakichś potężnych, nieśmiertelnych, a cudotwórczych łon zrodzony!.. Chór chyba Orfeuszów?!... Apage! apage!.. Nie, to chór archaniołów, wielbiących chwałę Pana!

— O Jasności! Słodycze! o cichy Majestacie! Któraś jest?... Wszystko zagasło przy Tobie!.. a jednak nie oślepiasz oczu, jako słońce — i napawają się one dowoli widokiem Twoim!.. O niezmierzone cudy! Ty spływasz ku mnie... słodka dłoń Twoja dotyka mojej skroni!.. Łzy moje, o łzy obfite! kładźcie się do stóp wyśnionych kaskadą z pereł! Rozerwij się o serce! gdyż szczęścia swego nie mieścisz!!!....

V.

Jam vitae flumina
Rumpe, o anima.

brobytu zakończył minister pierwszą swą mowę municypalną jako sternik państwa.

Król portugalski przyjechał do Windsoru — chyba po pieniądze za Delagoa-bay, której nabycia wszakże Anglicy zacięcie się wypierają. Interes, trzymający cesarza Wilhelma w Anglii, osłania dyplomacya tajemnicą; dziennikarstwo milczy lub przeżuwa dawniejsze już domysły, np. o małżeństwie następcy tronu niemieckiego.

Koło galicyjskie zdobyło się wreszcie na odwagę: wytknęło Krieghamerowi, wspólnemu ministrowi wojny, jawną nieżyczliwość dla Galicyi. Żądanie reorganizacyi sądów wojskowych miało charakter humanitarny, upomnienie się o dostawy, o ulgi w podwodach itd. było słusznem ze stanowiska ekonomii społecznej i samej przyzwoitości. — W bardzo zaciętej walce wyborczej w okręgu Stryj-Żydaczów-Drohobycz utrzymał się jako poseł do Rady państwa Starzyński Henryk, hrabia, tylko przewagą jednego głosu nad księdzem Dawydjakiem (341 — 340). Wybór niezawodnie zaatakuje partya rusińska.

Körber miał d. 11 b. m. mowę zasadniczą o języku państwowym i językach krajowych w Czechach i na Morawach i o swoim projekcie, którego ani Niemcy, ani Czesi przyjąć nie chcą. Mówił rozważnie, wskazywał nawet wymownie potrzebę zgody — ale nikogo nie pociągnął, nawet Niemców, którym upaństwowienie języka niemieckiego podobać się musiało. Wszystko tonie w mgłach i dymach. Nikt nie wskazuje wyjścia, bo go może i niema — chyba przez rozwalony mur. Poseł Stürgk obnosi już swoją listę ministrów z Körberem odrodzonym, z hr. Wodzickim jako ministrem rolnictwa, może i z Madeyskim, z Kramarzam i Bärnreitherem, i dwoma nowymi całkiem ministrami czesko-morawskimi, Czechem i Niemcem — dziecinna zabawka! — Cesarz zachorował na *ischias*.

W Bułgaryi nowy gabinet znowu pod Danewem.

Sagasta zbudował nareszcie gabinet liberalny z trzema ministrami nowymi: Almodowar — sprawy zagr., Puygcerver — sprawiedliwość, De Egillar — spr. wew., Weyler — wojsko, Veragua — marynarka, Romanones — oświata, Salvador — roboty publiczne, handel, rolnictwo (*fomento*).

Król rumuński odwiedził księcia Bułgaryi w Ruszczuku. Z powodu rocznicy historycznej (d. 11 września) obaj pojechali do Plewny, byli i w Grywicy, gdzie w r. 1877 stali Rumunowie.

D. 15 b. m. w Brukseli niejaki Gennaro Rubino, podobno podrzędny szpieg rządu włoskiego w Londynie, chciał wykonać w kościele św. Guduli zamach na króla Leopolda Belgijskiego. Pomylił się i strzelił dopowozu z trzema księżniczkami bez króla. Schwytany twierdzi, że wspólników nie miał. Lud gorąco okrzykiwał królewskość, Hr. Flandryi odstępuje tronu synowi. Sam król chce abdykować.

D. 14 b. m. sejm cesarstwa niemieckiego uchwalił 197 gł. prz. 78 wniosek agraryusza Aichbichlera, aby głosowania imienne odbywały się przez zbieranie głosów od posłów, a nie przez osobiste ich składanie do urn na stole prezydyalnym. Celem jest utrudnienie opozycyi; ale środek uchwalony nie doprowadzi do celu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Rozprawy galicyjskie w parlamencie. — Wystąpienie prof. Głąbińskiego. — Stanowisko prasy postępowej. — Stańczycy a ich obrońcy. — *Słowo Polskie*. — Walka z demokracya narodową. — Strata mandatu na Śląsku i jej przyczyny.

Czterodniowe rozprawy parlamentu wiedeńskiego na temat stosunków w Galicyi Wschodniej nie przestają być głównym materyałem rozmów i sporów w prasie. Nie pierwsze te i nie ostatnie rozprawy na tle stosunków galicyjskich cechuje jeden moment całkiem nowy. Mam tu na myśli wystąpienie prof. Głąbińskiego w charakterze przedstawiciela demokracyi narodowej *). Kierunek ten, posiadający do niedawna zwolenników jedynie wśród kształcącej się młodzieży, w ostatnich czasach zdobył sobie pewien mir i pomiędzy przedstawicielami dojrzałej już inteligencyi, a prof. Głąbiński jest dla demokracyi narodowej nabytkiem niewątpliwie najcenniejszym. Jako profesor uniwersytetu, zajmuje on stanowisko, pozwalające mu wywierać wpływ niemały, a jako dobry mówca, może się stać jednym z wybitniejszych parlamentarzystów galicyjskich. To też ukazanie się jego w Wiedniu stanowiło niewątpliwie erę dla demokracyi narodowej. Szczęśliwy traf zdarzył, że pierwsza, „dziewicza" mowa p. Głąbińskiego była wypowiedzeniem się programowem obozu narodowo-demokratycznego w sprawie najbardziej ten obóz obchodzącej — narodowościowej.

I oto słyszeliśmy profesora uniwersytetu polskiego, przemawiającego w namiętnym tonie najzajadlejszego hakatysty pruskiego, posuwającego się przytem do formalnej denuncyacyi Rusinów wobec dynastyi austryackiej. Tak otwarcie bezwzględnej mowy hakatystycznej nie słyszano jeszcze z ław polskich w parlamencie austryackim, to też efekt jej był nadzwyczajny. Nawet skrajni konserwatyści, ci sami obszarnicy wschodnio-galicyjscy, w których obronie przeciwko ludowi ruskiemu wystąpił prof. Głąbiński, byli mocno zażenowani jego specyficznym radykalizmem. Rzecznik reakcyonistów podolskich, hr. Wojciech Dzieduszycki, formalnie zaprotestował przeciwko tej części mowy, w której przedstawiciel narodowej demokracyi polskiej potępiał w czambuł wszystko, co tylko posiada charakter małoruski, od głupich frazesów niedowarzonej studenteryi aż do tendencyj poezyi Szewczenki. Co się zaś tyczy demokratów galicyjskich i ludowców, skupiających się dokoła *Nowej Reformy* i *Kuryera Lwowskiego*, to otwarcie wyrzekli się solidarności z występem prof. Głąbińskiego. Oto np. *Nowa Reforma* pisze: „Są to zwroty, które w tem uogólnie-

*) Głos ten czytelnikom mniej obeznanym z właściwym przedmiotem jego ataku może się wydać za ostrym lub zgoła niesłusznym. Otóż, musimy zaznaczyć, że demokracya narodowa na gruncie galicyjskim uległa zwyrodnieniu i że ona mało lub nic wspólnego nie ma z temi szlachetnemi uczuciami i dążeniami, które gdzieindziej jej mianem się pokrywają, i które tym głosem nie powinny czuć się dotknięte. Wartość stronnictwa nie spoczywa w jego nazwie, ale w jego czynach, a demokracya narodowa w Galicyi już obudziła przeciw sobie oburzenie, które jeszcze bardziej wzbierze, aż ją kiedyś zmyje.

Ignis accendere
Gestit et tendere
Ad coeli atria
Haec mea patria!.. *)

— Synu! Angelo najmilszy! jakże spędziłeś tę pierwszą noc po świętym dniu ofiary? Oblicze twe jaśnieje, jako ten promień jutrzenki w oknie celi, a głos twój brzmi świętym płomieniem hymnu!...

— Ojcze mój! nie mów mi o ofierze. Bom sięgnął tylko hardą dłonią po szczęście nieprzebrane. Za lichy widok splamionej grzechem ziemi łaskawość niebios posiadłem. Ojcze! nie zatruj serca gołębiego jadem zazdrości nagannej! Całą noc oczy moje na cudy raju patrzyły.

VI.

— O Matko litościwa! Raju pociechy i ukojenia! Madonno przenajświętsza! Ucisz burzę w mem sercu, jak Syn Twój falo Genezarethu!.. Bo zdaj mi się, iż w łonie mojem szaleją morza, iż tkwią w niem wszystkie groty tej ziemi, płoną wszystkie jej ognie! O Matko namilsza!.. Tulę czoło gorące do zimnego obrazu, jak dziecię, szukające ratunku na piersi macierzyńskiej! Ugaś żary boleści mojej! Ulituj się nad Twem dziecięciem. Moc niepojęta uderzyła gromem w pyszną duszę moję!.. Czemuż, o czemu nie składam hołdów dziękczynnych u stóp boskiego tronu?!... nie wznoszę tak, jak inni, modłów radosnych w świętobliwym zachwycie, iż Pan Zastępów przyjął łaskawie tę nadzwyczajną ofiarę?... Śmiem bluźnić nawet podziwem dla srogości, która skazuje na męki najwznioślejszego może. Czemu nie widzę, raju, co się otwiera przed niewidomym wybrańcem, lecz tylko piekło katuszy jego na ziemi?!... Czemu, Królowo miłosierdzia, tak odczuwam męczeństwo, tych cudzych źrenic ślepotę, jak gdybym sama nagle wzrok utraciła?... jakby nieznajomy był moim bratem jedynym, ukochanym... Te cudne, święte źrenice, za życia już pogrzebane, patrzą wciąż na mnie — w dzień i w nocy. Serce omdlewa z bólu, a nigdzie niema ratunku od okropnego wspomnienia. Rzucam się na wsze strony, — znikąd ulga nie spływa... Madonno! o Madonno! Matko najserdeczniejsza! Natchnij mię myślą zbawienną! Ratuj mię z dziwnej toni!... Głos duszy mej powiada, że sam Syn Twój najsłodszy nie chce takiego daru. Boskie serce Jego przeszyły męki samych piekieł nawet — i w piekła się pygrążył by wyratować męczenników. Więc pocóż samowolne ludzkie męczeństwa i ofiary?

VII.

— Jeżeli pamięć nie chybia, jest to już doba czterdziesta od nowej ery mojej. I gdybym nawet zapragnął, nie mógłbym już chyba podnieść tych obrzękniętych, sklejonych mocno powiek i wydobyć z pod ich ciężaru głęboko zapadłych źrenic. Żarzą się one w głębi, jak gdyby płomienne ognie je przepalały. Dzięki Ci, Panie, iż pozostawiasz cząstkę cierpienia w tej mojej szczęśliwości. O zwiększaj me bóle, bym stawał się godniejszym łask Twych niezmiernych!.. W pierwsze dni, mój bracie, budząc się z głębokiego uśpienia, nieświadomiem otwierał w ciemnej celi źrenice, jak każdy człowiek po śnie przerwanym zwykł czynić. Lecz skoro tylko przytomność mi wracała, nic nie ujrzawszy, prócz mroków, z lękiem zwierałem powieki. I otom się nauczył nie podnosić ich wcale. Odtąd, czuwając, — w wieczystym mroku, śniąc — w wiecznem świetle przebywam! Taką szczęśliwością obdarzył mię Zbawiciel!.. Ty płaczesz?... Słyszę oddalające się kroki twoje?...

— Angelo z pod powiek twoich krwawe łzy płyną!... Ja... patrzeć na nie — nie mogę! Wolę przez całą długą noc biczować grzeszne ciało, niż takie łzy oglądać... Widok twój za silnem jest zmartwieniem, nawet przy wielkich grzechach moich. O bądź błogosławiony! ty, najmężniejszy z męczenników! Przyślę do ciebie którego z braci, by mię zastąpił i odprowadził cię z ogrodu do twej celi...

Lękasz-że się pozoru? Te krwawe łzy — lekkiemi mi się zdają, jak chłodne rosy perełki na łonie kwiatu. Nikogo nie posyłaj. Znam dobrze już drogę do celi i do kościoła.

(C. d. n.)

*) Św. Tomasz z Aquinu.

niu poważnej krytyki nie wytrzymują, a w bolesny sposób dotknąć muszą ogół ruski i niepotrzebnie drażnią tych, co z najnowszym kierunkiem politycznym radykałów ruskich nic nie mają wspólnego. Wreszcie uroczyste, z wielkim zapałem wygłoszone zapewnienie, że „demokraci całe mienie swoje, a w razie potrzeby i życie ofiarują za sprawę narodową w Galicyi Wschodniej“ — nadto cały ton końcowych zwłaszcza ustępów mowy p. Głąbińskiego, wywołuje wrażenie, jakoby Polacy porzucali swoje obronne, dotychczas wobec Rusinów przez siebie zajmowane stanowisko, a przechodzili do stanowiska zaczepnego, jak gdyby wypowiadali wojnę nie temu lub owemu stronnictwu ruskiemu, lecz wogóle wszystkim Rusinom. W tym duchu nie wygłosił rzeczywiście dotąd mowy przeciw Rusinom żaden poseł polski ani w sejmie, ani w parlamencie. Do takiego stawiania sprawy polsko-ruskiej nie był prof. Głąbiński najwidoczniej upoważniony przez Koło polskie, skoro jego wiceprezes czuł się zmuszonym do łagodzenia niepolitycznych porywów zbyt krewkiego mówcy.“ W dalszym ciągu organ demokratów krakowskich dowodzi, że prof. Głąbiński swem „porywczem wystąpieniem wyrządził szkodę postępowym, narodowym stronnictwom polskim“; najlepszym tego dowodem była scena z hr. W. Dzieduszyckim i samym p. Głąbińskim na ostatniem posiedzeniu Izby. Po tem, co powiedział hr. Dzieduszycki, pomyśleli sobie zapewne Rusini: „z konserwatystami tylko mówić jeszcze możemy, z nimi tylko możliwe są konjunktury.“

Wniosek to najzupełniej słuszny, tak samo, jak słusznem jest twierdzenie demokratycznego organu krakowskiego, że „z tej tak efektownej a tak bardzo niepolitycznej mowy prof. Głąbińskiego największą korzyść wyłowią dla siebie konserwatyści, bo uchodzić będą za jedyną, ludowi ruskiemu życzliwą partyę polską. Z tego powodu przeciw takiemu traktowaniu ogółu Rusinów, jak to uczynił poseł Głąbiński, zastrzedz się musi stronnictwo demokratyczne, nie roszczące sobie wprawdzie pretensyi do wyłącznego używania tytułu „narodowego,“ ale mogące poszczycić się poważną sumą spełnionej pracy narodowej. Praw narodowych ludności polskiej na wschodzie bronić mamy obowiązek i ten obowiązek spełniać winniśmy z pełnem poczuciem jego doniosłości. Równocześnie atoli strzedz się winniśmy wywoływania i wzmacniania antagonizmów narodowych na wschodzie, szanując godność narodową i prawa obywatelskie ludu ruskiego.“

Kuryer Lwowski, który w sprawie strejków rolnych zajmował stanowisko niejasne i chwiejne, tak samo, jak i reprezentowane przez to pismo stronnictwo, zaprotestował przeciwko mowie prof. Głąbińskiego i zwłaszcza przeciwko jej obrońcom ze *Słowa Polskiego* — urzędowego organu demokracyi narodowej. W ten sposób wszystko, nazywające się w Galicyi demokratycznem, pomijając już nawet najskrajniejszą lewicę demokratyczną — demokracyę społeczną — stanęło w jaskrawem przeciwieństwie do przedstawicieli demokracyi narodowej. Z drugiej jednak strony i konserwatyści, w których interesie pracuje demokracya narodowa, nie zsolidaryzowali się z p. Głąbińskim. Niedość tego, nie zadowolili się oni jedynie protestem W. Dzieduszyckiego, ale zgotowali demokratom narodowym i p. Głąbińskiemu inną jeszcze niespodziankę.

Mianowicie konserwatyści wybrali na drugiego wiceprezesa Koła polskiego posła Dulębę — zero zupełne, choć poprzednio upatrzony był na to stanowisko profesor Głąbiński, i właśnie jego mowa, z powodu interpelacyi p. Daszyńskiego, a w obronie interesów wielkiej własności ziemskiej, miała mu ostatecznie utorować do tego drogę. Stało się jednak inaczej. Jakkolwiek profesor Głąbiński bronił interesów obszarników z całem poświęceniem swej godności osobistej i partyjnej, to jednak obrona ta była tak niezręczna ze stanowiska politycznego, że obszarnicy musieli się jej wyrzec. I oto *Słowo Polskie* z goryczą stwierdza, że „Koło nie umie nagradzać zasługi.“

Warto tu poświęcić słów parę temu pismu, które zmieniwszy swych właścicieli— czyli inaczej dzierżawców — miało się stać pionierem nowych idei w społeczeństwie galicyjskiem, wytworzyć nową szkołę myślenia politycznego itd. Tymczasem jest ono obecnie jednym z najwstrętniejszych organów bardzo nizko stojącej prasy galicyjskiej. Po dawnej demokracyi, obecnie zupełnie już stopionej z konserwatystami (z wyjątkiem drobnej grupki krakowskiej), demokracya narodowa, grupująca się dokoła *Słowa Polskiego*, odziedziczyła wszystkie jego przywary— skrajny oportunizm, wysługiwanie się konserwatystom przy wszelkich zatargach ich z warstwami ludowemi, nieczyste konszachty z macherami kahalnymi, niesumienność w walce z przeciwnikami ze sfer opozycyi itd. Do tego wszystkiego dodało jeszcze krzykliwy hakatyzm na modłę pruską, operując wszystkiemi wytartemi hasłami nacyonalizmu międzynarodowego. Ponieważ demokracya narodowa jest grupą, dopiero teraz występującą na widownię publiczną, przeto jako wszelka nowość, zwłaszcza tak jaskrawa, pociąga ku sobie ludzi — bądź naiwnych politycznie, bądź karyerowiczów. Ale stanowczo twierdzić można, że czegoś rzeczywiście nowego do polityki galicyjskiej demokracya narodowa nie wniesie. Weszła ona już na tę samą drogę, na której spotkała się ze stańczykieryą dawna demokracya galicyjska, pp. Rutowskich i Lewickich, to też czeka ją niechybnie taki sam smutny koniec. Jedno, co po niej pozostanie oryginalnego, to niesłychanie rozogniona waśń polsko-rusińska. Proces dziejowy regulowania stosunków dwóch narodowości Galicyi Wschodniej został, dzięki demokratom narodowym, przekształcony na wstrętną hecę, a jej wybryki wprost wytrącają broń wszystkim tym, którzyby chcieli karcić szowinistyczne zapędy Rusinów. Bo i jakże mogą się Polacy oburzać na krzykaczy rusińskich, przechwalających się, że Polaków za San wyrzucą, na różnych Sembratowiczów, którzy pisują paszkwile na Polaków, skoro posiadamy w społeczeństwie naszem takich Głąbińskich, Popławskich i innych hakatystów, skoro ze strony narodowo-demokratycznej powtarza się pod adresem Rusinów wszystkie pomysły hakatyzmu pruskiego?!

Niebezpieczeństwo, ściśle związane z szerzeniem się zasad i praktyki demokracyi narodowej, przenika coraz szersze koła. Do niedawna organ demokratów krakowskich, *Nowa Reforma*, i organ ludowców, *Kuryer Lwowski*, traktowały demokratów narodowych przyjaźnie. Obecnie tak jedno, jak i drugie pismo coraz częściej przeciwko nim występują. Ale i po za pismami codziennemi, zwalczającemi demokracyę narodową, ukazują się od czasu do czasu prace, zajmujące się tym prądem. Pomiędzy temi na pierwszem miejscu należy postawić rozprawę p. Wilhelma Feldmana, wykazującą bardzo dosadnie i z gruntowną znajomością przedmiotu, czem zagraża społeczeństwu rozwój demokracyi narodowej. Mniejszą pod względem rozmiarów, ale również pożyteczną jest broszura p. Jana Zamorskiego, poświęcona tej samej sprawie. Jeśli dodamy do tego systematyczne a codzienne niemal utarczki z reakcyjnymi zapędami demokratów narodowych *Naprzodu* krakowskiego, to nie będziemy mogli robić postępowej inteligencyi galicyjskiej zarzutu lekceważenia niebezpieczeństwa reakcyi w masce nacyonalistycznej.

Wybory do sejmu śląskiego przyniosły porażkę obozowi polskiemu, ponieważ przepadł kandydat polski, ks. Londzin, a wybrany został niejaki Halfar — osobistość o nieokreślonej narodowości, jakich obecnie jeszcze jest na Śląsku dużo. P. Halfar jest wójtem w polskiej gminie Poręba, uważa się za „Słowianina,“ sympatyzuje z dążnościami czeskiemi, a z jego wyboru najbardziej cieszy się polako- i czechożercze *Silesia*. Obecnie prasa poszukuje winowajców upadku ks. Londzina, który kandydował na miejsce niedawno zmarłego ks. Swieżego.

Główną przyczyną porażki kandydata komitetu narodowego jest, zdaje się, niedotrzymanie warunków kompromisu ze strony Czechów, następnie brak dostatecznego uświadomienia narodowego wśród włościan i ospałość kół kierowniczych. Te dwie ostatnie okoliczności bardzo sprytnie wyzyskali Niemcy. Postawili oni kandydaturę niby Polaka i przytem rolnika, co przysporzyło mu sporo głosów włościan polskich i czeskich. Osoba, a raczej stan kandydata też nie bardzo sprzyjał jego wyborowi, ponieważ chłopi śląscy bardzo zrażeni są do księży i nie wierzą, aby ci coś mogli dla ludu uczynić. Oprócz tego wśród wychodźców była spora garstka ewangelików, którzy głosowaliby chętnie na katolika świeckiego, ale na księdza nie chcieli.

Strata ta jest w gruncie rzeczy stratą „statystyczną,“ bo ks. Londzin w sejmie z pewnością niby nie dokonał wobec olbrzymiej przewagi posłów niemieckich, a zresztą, posiadając znaczne zasługi w gorliwej pracy około rozwoju „Macierzy Śląskiej,“ jako polityk niczem dodatniem się jeszcze nie zapisał. Większa natomiast szkoda, że p. Friedel w ostatniej chwili zrzekł się kandydatury. Posiadał on bezwarunkowo większe widoki, ponieważ głosowaliby za nim wszyscy rolnicy ewangelicy i wszyscy rolnicy z frysztackiego, którzy oddali swe głosy Halfarowi jedynie z tego powodu, że „księdza nie chcą.“ Ale komitet obawiał się Czechów, którzy, jak się potem pokazało, i za ks. Londzinem nie głosowali.

Daleki.

Listy z Francyi.

Paryż listopad.

Otwarcie zamkniętych niedawno szkół kongregacyjnych. — Racyonalna walka z klerykalizmem. — Wyzysk i nadużycia w klasztorach francuskich. — Oszustwa kanonika Rosenberga. — Chrzest G. Pollonais'a.

Było do przewidzenia, że zamknięte z hałasem przed wakacyami szkoły kongregacyjne — z rozpoczęciem roku szkolnego otwarto po cichu pod dyrekcyą świeckich manekinów. W Paryżu otwarte zostały wszystkie bez wyjątku, na przedmieściach — 9 na 16, a w innych departamentach znaczna większość. W wielu miejscowościach, zwłaszcza na prowincyi, bogate reakcyonistki, przypomniawszy sobie, że ongi w młodości otrzymały jakiś dyplom, wyciągnęły zapomniany szpargał i zasłonione nim przed prawem, otworzyły szkoły, zamknięte przed niespełna dwoma miesiącami. Ani program nauki, ani metoda nie zmieniły się tam wcale, zastąpiono jedynie habit surdutem, a czepiec zakonny strojnym kapeluszem.

Z chwilą zamknięcia szkół kongregacyjnych nacyonaliści uderzyli na alarm i poczęli trwożyć ludność pracującą, że z powodu braku miejsca w zakładach naukowych świeckich dziatwa wychowywać się

będzie w rynsztokach, a potrzeba nowych gmachów szkolnych sprowadzi podwyższenie podatków. Tymczasem zaledwie o 150 dzieci powiększył się zastęp uczniów i uczenic szkół elementarnych, i nie było wcale wyczekujących na miejsce, gdyż rozmieszczono je odpowiednio. Daleko liczniej za to zapisywano się w roku bieżącym do świeckich liceów i kolegiów, średnich zakładów naukowych, posiadających klasy przygotowawcze, ilość bowiem uczniów w porównaniu z rokiem poprzednim wzrosła w całej Francyi ogółem o 2,325, a dziewcząt — o 1,208. Na taki wzrost liczby młodzieży, kształcącej się w liceach, wpłynęło nietylko prawo o kongregacyach, ale wogóle zwiększające się dążenie do wykształcenia wyższego, chęć zdobycia bakalaureatu, oraz nieco racyonalniejsze nowe programy tych zakładów naukowych.

Już dziś okazało się, że dekrety Waldeck'a-Rousseau i Combes'a nie są dostateczne dla powstrzymania fali klerykalizmu, trzeba jąć się środków daleko radykalniejszych, a przedewszystkiem znieść konkordat i przeznaczyć dzisiejszy budżet wyznań na rozszerzenie oświaty i polepszenie doli ludu pracującego, który na swą nędzę szuka dziś pociechy w kościele albo w szynku, w kantyczkach albo w kieliszku. Ale ludziom szerszych poglądów coraz częściej nasuwa się wątpliwość, jak to wykazał w swej świetnej mowie senator Clémenceau, czy państwowy monopol nauki stanie się obuchem, groźnym jedynie dla klerykalnych zakładów naukowych. Sądzą oni, że jego zaprowadzenie to zastąpienie dawnego katechizmu nowym, to nowe ujarzmienie umysłu, spętanie myśli wolnej i nałożenie hamulca na ludzi, którzy starają się podkopać i zniszczyć klerykalizm we Francyi nietyle dekretami, wyjątkowemi prawami, nietyle zabraniając w zapadłej Bretani używania bretańskiego języka w szkole i kościele, nietyle zmuszając dziatwę i młodzież do pobierania nauki wyłącznie w szkołach państwowych i z państwowych podręczników, podług modły choćby nawet Combes'a lub Jaurès'a, ale odsłaniając w całej nagości tysiączne kłamstwa, oszustwa, egoizm, obłudę mniemanych głosicieli prawdy i poświęcenia, przedstawiając kler, jako obrońcę silnych i możnych na tym świecie, obiecujący maluczkim i ubogim raj dopiero po śmierci, zwalczając wreszcie samą ideę religii.

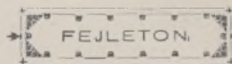
W tym przeważnie kierunku cały zastęp pisarzy i mówców walczy już od dawna we Francyi z niemałym pożytkiem, a dziś podwaja jeszcze swą energię. Liczne broszury i książki, jak również piosenki i wiersze, wypowiadane publicznie przez utalentowanych autorów, a następnie rozpowszechniane w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, systematycznie urządzane odczyty i zebrania, zamknięty onegdaj kongres wolnomyślnych Francuzów, którzy prace swe zakończyli założeniem ogromnego związku p. n. „Association nationale de la libre pensée" (Stowarzyszenie narodowe wolnej myśli), rozchodzący się w ilości około 30 tysięcy egzemplarzy tygodnik *La Raison*, pismo codzienne *L'Aurore*, nader chętnie czytane przez warstwy pracujące — wszystko to jest odzwierciedleniem owej racyonalnej i skutecznej walki. Obecnie powszechną uwagę zwróciły w *La Raison* artykuły deputowanego belgijskiego, Fuxnemonta, który punkt po punkcie zwalczał dowodzenia swego kolegi, dep. Vanderwelde'a, utrzymującego w dzienniku brukselskim, *Peuple*, ku zadowoleniu klerykałów, że religia jest rzeczą prywatną — „privatsache."

Jeszcze większym rozgłosem cieszą się artykuły Valliera w *Aurore*, odsłaniające ciemne obrazy, jakich widownią jest klasztor, a zarazem zakład wychowawczy w Tours, „Notre Dame de Charité." Nie są to przecież utwory jego fantazyi, lecz dosłownie przytoczone listy dawnych wychowanek, świadectwa inspektora fabrycznego i komisarza policyi. Na podstawie tych autentycznych dokumentów wywnioskować można, że zaledwie nieznaczna część dziewcząt otrzymuje tam najniższe wykształcenie elementarne, większość zaś zajęta jest wyłącznie pracą ręczną, przynoszącą ogromne zyski zakładowi, i to od godz. 5 rano do 9 wieczorem. A biada dziewczynie, która nie zdołała wykończyć w ciągu dnia naznaczonej pracy lub popełniła najmniejsze wykroczenie — oczekuje ją kara barbarzyńska zarówno pod względem fizycznym, jak moralnym: zamknięcie w ciemnej piwnicy, nieraz z kościotrupem, nałożenie kaftana, używanego dla waryatów, zanurzenie głowy w zimną, brudną wodę, ucięcie włosów, smaganie rzemieniem, zmuszanie do czołgania się na klęczkach po podłodze, posypanej nieraz umyślnie szkłem, wylizywanie wielokrotne krzyżów na brudnej podłodze, bądź w refektarzu, bądź nawet w miejscu ustępowem, wreszcie smarowanie twarzy gnojem bydlęcym. Niechaj nikt z czytelników nie sądzi, aby kary te zdarzały się jedynie wyjątkowo w Tours, w klasztorze sióstr, tak dobrze pojmujących miłosierdzie względem biednej, osieroconej dziatwy. Jako lekarz, miałem nieraz sposobność dowiadywać się od robotnic lub służących, byłych wychowanek różnych klasztorów, że wylizywanie krzyża językiem, *camisole de force*, ciemna klasztorna piwnica, to zwykłe kary w tych zakładach, obostrzone pozbawieniem pożywienia, a objaśniane przez zakonnice słowami: „Nasz Pan potrzebuje ofiary z łez i krwi! Trzeba cierpieć! On nam wskazał drogę Kalwaryi!.."

Niedość, że klasztory francuskie i liczne klerykalne zakłady wychowawcze, zajmujące się często wyrobem różnych przedmiotów, napojów, obuwia i szycia bielizny, wyzyskują do najwyższego stopnia powierzonych im lub przywłaszczonych wychowańców, a przez wytwarzanie konkurencyi obniżają płacę roboczą wogóle, — niedość, że zamiast kształcić charakter, rozwijać umysł, rozszerzać pogląd na świat i nauczyć jakiegoś rzemiosła, czynią z dziecka bezduszną maszynę, niemającą ani siły woli, ani odwagi do oparcia się katuszom, a po wydostaniu się z owej nowoczesnej otchłani, do odsłonięcia swych ran i doznanych krzywd, istotę niezdolną nawet do pracy zawodowej, ale są one naprawdę środowiskiem średniowiecznej inkwizycyi, chorobliwych objawów histeryi, wynikającej z oderwania od świata i życia naturalnego, stłumienia przyrodzonych uczuć miłości i solidarności. Dziwić się można, że rząd francuski dopiero przed kilku dniami przedstawił izbie projekt opieki nad owymi zakładami, gdzie dotychczas działalność inspektorów pracy paraliżowana była przeróżnymi przywilejami sióstr i braciszków. Dopiero teraz zdrowsza część społeczeństwa francuskiego widzi dokładnie, że handel żywym towarem przybiera różne formy i że po za ponurymi murami klasztorów francuskich, nieraz wśród ciszy nocnej, łkają biedne dziewczęta nietylko z Francyi, ale i z odległych krajów, nawet z nad Wisły i Niemna, jak tego mieliśmy dowód przed paru miesiącami.

Każdy bezstronny obserwator musi przyznać, że podstawy klerykalizmu we Francyi coraz więcej się kurczą, a przedstawiciele jego tracą urok nawet w oczach dewotek i mas ciemnych. Niema bowiem miesiąca, ażeby który z nich nie był ścigany sądownie, bądź za przestępstwo przeciw obyczajności, bądź za oszustwo, kradzież itp. Znane są już powszechnie nowoodkryte szalbierstwa księdza Guillaumin'a i kanonika Rosenberga, który był jednocześnie handlarzem wódek i wędlin, założycielem ochrony dla sierot p. n. „Lumière éternelle," gdzie wyzyskiwał strasznie pracę chłopców, wyrabiających konserwy, oraz podejrzanego klasztoru Urszulanek, a prócz tego generalnym wikaryuszem, jakoby arcybiskupa Libanu, wyłudzającym od pobożnych dam znaczne sumy na przeprowadzanie rozwodów. Dziś już wybiła godzina dla klerykalizmu we Francyi, korzenie jego może być za długie, ale minęły na zawsze złote czasy, nie przywrócą ich nacyonaliści, ani sprzedajni dziennikarze, jak G. Pollonais, który z rozgłosem wyparł się religii swych ojców.

Dr. Józef Zieliński.



Człowiek-gąbka.

Jest pewien typ ludzi, który jak gąbka nasiąka ideami otoczenia, a ponieważ to otoczenie zmienia często, przeto wciąż nasiąka ideami nowemi. Że zaś trudno takiego człowieka po drodze do innego otoczenia przepłukać, przeto idee różnych środowisk mieszają się w nim, dopóki jedna z nich nie weźmie góry nad innemi.

Taką gąbką, która w ciągu krótkiego stosunkowo okresu ludzkiej dojrzałości nurzała się w różnych środowiskach, zmieniała zasady i idee, a zawsze była ich pełna, taką gąbką, powtarzamy, jest były lew dawnego *Głosu*, a obecny lew nacyonalizmu galicyjskiego p. Jan Popławski.

Kiedy swego czasu oddalony był od Warszawy, nasiąkał tęsknotą i ukochaniem wszystkiego, co nasze, nasiąkał bezkrytycznie. W owem „błękitnem oddaleniu" to wszystko działało na niego tak, jak na żelazo działa magnes. Wreszcie wrócił do Warszawy, aby działać, aby pisać, aby społeczeństwu służyć.

Z początku pisał w *Prawdzie*. Tu nasiąkał hasłami postępu, nauki, walki z ciemnotą; te nowe czynniki wypierały z niego bezkrytyczne uczucia „błękitnego oddalenia;" gąbka jego duszy zawierała płyn coraz klarowniejszy, bo takie było środowisko. I nikt nie mniemał, aby był gąbką. Bo czy to można człowieka rozkrajać i zajrzeć do środka, czem jest?

Potem opuścił *Prawdę* i począł pisać do dawnego *Głosu*, redagowanego przez Józefa Potockiego. Tu nasiąkał ideami „podporządkowania interesów ogółu interesom ludu." Niepospolity umysł redaktora, wielka jego wiedza i zacność, to także wsiąkało w ową szczególną gąbkę, którą wtedy lwem *Głosu* nazywano. Ale istotny lew *Głosu*, Potocki miewał niekiedy jasnowidzenie połowiczności programu i działalności swego obozu. „Cóż my uprawiamy? biadał. Nie jest-że to małomieszczański liberalizm?" Ale że te biadania naczelnego redaktora były bardzo poufne i ciche, więc nie wsiąkały w lwią gąbkę naczelnego feljetonisty, który, naciśnięty przez chłopców z drukarni, wyrzucał z siebie to, czem był nasiąknięty; pryskał tedy „podporządkowaniem interesów ogółu interesom ludu," grzmiał na sobkostwo szlachty, mył *Słowo*, mył całą konserwatywno-klerykalną prasę, wypłukawszy do cna z siebie cały nastrój „błękitnego oddalenia."

Aż nagle narodził się w owym dawnym, demokratycznym, ideowym *Głosie* teoretyczny antysemityzm. Był on istotnie tylko teoretyczny, gdyż gorzka praktyka życiowa zmuszała tych ludzi nieszczęśliwych iść do takich Żydów, którzy brzydli zresztą każdemu Żydowi, potrzebującemu gwałtownie pieniędzy. I wtedy nastąpiło pod-

porządkowanie wszystkich izmów jednemu izmowi, a mianowicie antysemityzmowi.

Już wtedy różni ludzie poczęli przebąkiwać, że ów lew dawnego *Głosu* bywa jakoś rozmaity. Ale owe domniemania przycichły, gdyż lew wyjechał do Galicyi i począł stamtąd w założonem przez siebie pisemku sądzić „żywych i umarłych“ z takim ogniem, z taką werwą, tak „mył,“ że ludzie ciągnęli do niego, nie jak do Jana Popławskiego, ale jak do Jana Chrzciciela. A ów Jan, myjący społeczeństwo, nasiąkał teraz starą lwowską tromtadracyą, krakowskim szowinizmem, galicyjskiem krzykactwem, z wszystkich tych domieszek tworząc eliksir patryotyczny, który miał zbawiać tych, co żyją i co żyć będą. Nowe płyny, w których się zanurzał, wypłukały z niego stare; więc nie pozostało tam nic z *Prawdy*, nic z *Głosu*. Wielce charakterystycznym był swego czasu jego odczyt o Aleksandrze Świętochowskim, odczyt, do którego skwapliwie przyznało się warszawskie *Słowo;* przedrukowało w całości wywody dawnego swego przeciwnika, powtarzając z naiwnością zdziecinniałego starca wszystkie plotki i ploteczki, które Popławski wygłaszał z pychą Schopenhauera, a z pianą Jaleńskiego. I w ten sposób dawny Głosowiec przez „błękitne oddalenie“ podał rękę warszawskiemu wstecznictwu.

Ale ostatecznie i w Galicyi ludzie posiadają zmysł krytyczny. Więc po niejakim czasie odezwały się zdumione głosy, że różne artykuły *Przeglądu Wszechpolskiego* mogłyby doskonale figurować w *Czasie*, a nawet w *Roli*. Że jakoś wszystko, co tylko tchnie europejskim postępem, humanitarnością, liberalnemi powiewami, znajduje w tym wielkim patryocie, który jak gąbka wszystkich mył, zaciętego wroga. Że ten niesłychany „barski“ katolik zaczyna wprowadzać do dziennikarstwa jakąś świecką inkwizycyę: pal żyda, pal społecznika, pal postępowca, pal każdego, który choćby do rysunku wprowadzi motyw śmiertelnej koszuli. I głosy te mówiły prawdę. Bo już się były rozpowszechniły po świecie idee hakatystyczne, i gąbka ludzka, zwana Jan Popławski, zwolna, ale stale nasiąkała etyką hakatyzmu. Niebawem też ów polski hakatyzm wypłukał nawet z onej gąbki resztkę patryotyzmu, ostatnie krople tego, co w nią kiedyś nasiąkło, i pozostała czysta, pieniąca się, fanatyczna, niemiecko-lwowsko-kołtuńska hakata, którą Zygmunt Balicki lakierował nauką, choć oszczędnie, żeby się świeciło, a niedrogo kosztowało.

Jeżeli przypatrzymy się życiu Jana Popławskiego, przypuśćmy w granicach takich, jak od Wiatki przez Warszawę, *Prawdę*, *Głos*, *Wiek XX*, *Przegląd Wszechpolski*, to będziemy mogli ułożyć całą tęczę barw jego przekonań, od demokratycznej czerwieni do katolich fioletów, i dalej w tęczy odwrotnej na gruncie galicyjskim, od katolickich fioletów do indyczej czerwieni hakaty polskiej. Temi barwami owa gąbka nasiąkała kolejno, a czem jeszcze nasiąknie, przyszłość pokaże.

Dawny lew *Głosu*, dawny demokrata, dziś jest typowym krzykaczem, który przy biurku redakcyjnem obłędną imaginacyą tworzy widmo narodu i to widmo „myje.“ Dawne uczucia demokratyczne, dawne popędy humanitarne, dawne dążenia bądź co bądź w stylu niecodziennym— to wszystko wyciekło z gąbki, bo wyparła je owa tępa, indycza, staro-sejmikowa furya, która zrobiła z niego politycznego kuglarza, łapiącego niekrytyczne głowy na lep drogich każdemu słówek. On, który niegdyś z piśmiennictwem warszawskiem dzielił dolę i niedolę, dziś, rozparłszy się w zakątku galicyjskim, jak Twardowski w karczmie, nietylko „śmieszy, tumani, przestrasza,“ ale i szydzi z piśmiennictwa warszawskiego, z jego dążeń, a zwłaszcza z ludzi, którzy rzeczywiście służą dobru publicznemu, zawsze o własnem zapominając.

Oportunista w idei, kuglarz w polityce, Jeleński w dyskusyi, kameleon w barwach przekonaniowych, nie zawaha się przed żadnym środkiem, przed żadną bronią. Rzucić na kogoś uczciwego w piśmie swem kalumnię, bryznąć na człowieka idei mianem zdrajcy narodowego, to dla niego rzecz tak łatwa, jak dla dzieciaczka ściąć batożkiem kwiatek na łące. Jest to człowiek, który ze swojem sumieniem nigdy nie miewa rozmów.

Galicyjskie sfery konserwatywne, które Popławski często kokietuje nie bez głębszych powodów, są jednak bardziej ostrożne i bardziej nieufne, niż owe nieszczęsne a bezkrytyczne gromady, które w tej gąbce widzą kacyka polskości. Wiedzą one, że we wszelkiej działalności publicznej obowiązuje pewna logika, boją się natur wichrowatych. Więc też Popławskiego mylą niekiedy rachuby. Zresztą każda galicyjska partya opiera się na fundamencie konkretnym: konserwatyści na wielkiej posiadłości, ludowcy na drobnej posiadłości itp. Popławski opiera się na pewnych naszych wadach — a to nawet dla *Czasu* za mało.

Ponieważ ta gąbka ludzka w czasach ostatnich bardzo gorliwie zajmuje się określeniem psychologii ludzi, pracujących szczerze dla społeczności naszej, i ponieważ różne prostacze głowy, przykładając palec do czoła, powiadają: o, psycholog! przeto postanowiliśmy dać zwierciadełko jego własnej psychologii, aby się w tem zwierciadełku przejrzał i — poznał.

Andrzej Niemojewski.

PAMIĘTNIK.

Nowa era.

Dzień 15 listopada r. b. rozpoczął dla Kalisza i jego gubernii nową erę życia i rozwoju ekonomiczno-społecznego: upragniona oddawna, oczekiwana w ostatnich miesiącach z łatwą do zrozumienia niecierpliwością linia kolejowa między Warszawą a Kaliszem została wreszcie ukończona, i w sobotę ubiegłą o godzinie 8-ej zrana wyruszyły po raz pierwszy, jednocześnie z dwu stron przeciwległych, pociągi, które rozpoczęły na niej prawidłowy ruch osobowy i towarowy.

Trudno w paru słowach uwydatnić należycie doniosłość i znaczenie tej nowej arteryi komunikacyjnej dla całego kraju, dla gubernii Kaliskiej zwłaszcza, która należy do najludniejszych, najbogatszych i najżyzniejszych w Królestwie, a do ostatniej chwili (rzecz prawie nie do uwierzenia!) nie miała na swym obszarze ani jednej wiorsty drogi żelaznej. Lecz nie ulega wątpliwości, że znaczenie to jest ogromne.

Linia kolejowa, przebiegająca na przestrzeni 235 wiorst trzy gubernie (Warszawską, Piotrkowską i Kaliską) oraz dziewięć powiatów (Warszawski, Błoński, Sochaczewski, Łowicki, Brzeziński, Łódzki, Łaski, Sieradzki i Kaliski), łącząca między sobą bezpośrednio takie ogniska życia kulturalnego lub przemysłowego, jak Warszawa, Łowicz, Zgierz, Łódź, Pabianice, Zduńska Wola, Sieradz i Kalisz, to jakby potężny prąd elektryczny, wzmagający sprawność i zdolność życia jednych części organizmu krajowego, budzący z uśpienia i martwoty inne. Wzdłuż nowej kolei, obok istniejących już, powstaną niewątpliwie nowe ogniska przemysłu i handlu, ożywi się i podniesie rolnictwo, korzystając w całej pełni z ułatwionego przewozu wytworów swoich z jednej strony, maszyn i narzędzi rolniczych z drugiej, a ludność obszernej prowincyi nie będzie się już czuła zamkniętą i odciętą od całej reszty kraju.

Kto zresztą choć raz w życiu zmuszony był odbywać szesnastogodzinną podróż średniowieczną arką Noego, zwaną karetką pocztową albo kuryerką, aby się dostać z Łodzi, Piotrkowa czy Kutna do Kalisza lub odwrotnie, ten łatwo zrozumie radość, w jaką otworzenie nowej kolei wprawiło przedewszystkiem mieszkańców starego grodu nadprośniańskiego, którzy aż uczuli potrzebę telegraficznego podzielenia się częścią swych uczuć „z ukochaną Warszawą.“ To pewna, że w d. 15 listopada rozpoczęła się dla nich nowa era życia...

Doniosłość nowej kolei wzrośnie jeszcze znacznie, gdy po urzędowym odbiorze jej przez komisyę z Petersburga, zaprowadzona zostanie większa szybkość pociągów, które na początek przebiegać mają tylko po 30 wiorst na godzinę, i gdy po załatwieniu sprawy przeładowywania towarów, pociągi te kursować zaczną aż do — odległej o parę wiorst zaledwie od Kalisza — granicy pruskiej.

Wł. B.

Artykuł 944.

„Parę tysięcy spraw z art. 944 kodeksu karnego — pisze p. Wł. Ch. w *Gazecie Polskiej* — z takąż ilością powództw cywilnych o alimenta czeka swej kolei w wydziałach karnych sądów tutejszych,“ a tymczasem nie wiadomo jeszcze, czy wobec ogłoszenia nowego prawa z d. 3 czerwca o dzieciach nieślubnych (nieobowiązującego, jak wiadomo, Królestwa) powyższy artykuł kodeksu, zniesiony dla Cesarstwa przez nowe prawo, zachował u nas moc obowiązującą. Sprawę tę rozstrzygnąć ma senat.

Ażeby zrozumieć jej doniosłość, trzeba się zapoznać przedewszystkiem z treścią owego art. 944. „Za nieprawne pożycie mężczyzny bezżennego z kobietą niezamężną, za wspólną ich zgodą, winni, jeśli są chrześcianami, ulegają: pokucie kościelnej podług zarządzenia swej zwierzchności duchownej. W wypadkach zaś, gdyby skutkiem takiego pożycia dziecię zrodzone zostało, ojciec obowiązany, stosownie do swej zamożności, dziecięciu i matce odpowiednie zabezpieczyć utrzymanie.“

Wobec zasady obowiązującego u nas dotąd kodeksu Napoleona, wzbraniającej poszukiwać ojcostwa, przytoczony art. 944 był dla kobiet, mieszkających w Królestwie, jedyną drogą dochodzenia swych praw o alimenta. Opierając się na nim, mogły one oskarżyć siebie i ojca dziecka, zrodzonego po za małżeństwem, o pożycie nieślubne i żądać zasądzenia od niepoczuwającego się do swych obowiązków mężczyzny pewnej stałej kwoty na utrzymanie swoje i dziecka. Zmienienie tego artykułu dla Królestwa pozbawiłoby je zupełnie opieki prawa, a w wielu wypadkach skazywało na nędzę zupełną.

Lecz nowe prawo z d. 3 czerwca miało na celu ulżyć losowi dzieci nieślubnych i ich matek, trudno więc uwierzyć, by dla pewnej części państwa mogło ono mieć skutki wręcz przeciwne. Przypuszczać należy, że oczekiwane przez sądy tutejsze wyjaśnienie senatu pogodzić zdoła te sprzeczności w duchu pojęć i wymagań nowoczesnych.

b.

Właściwa miara.

Pan Rabski obraził się na nas za nazwę „Austryaka warszawskiego,“ choć rada, by wystąpił z kandydaturą do tronu, nie sprawiła mu, zdaje się, przykrości, a w każdym razie nie uważa, aby jego głowa była „za słaba“ do dźwigania ciężaru korony. Odpowiedzi na nasz artykulik w „Pamiętniku“ ostatnim poświęcił aż dwie trzecie swoich „Listów z Krakowskiego Przedmieścia,“ gdzie wszystkim pismom, ośmielają-

cym się krytykować jego manifesty i wystąpienia, on — zbieg z obozu postępowego — nadaje pogardliwą nazwę „świstków rewolwerowych."

Wybornie! Teraz dopiero stoimy na gruncie właściwym i wytworzyliśmy sobie odpowiednią zupełnie miarę do oceny rzeczy i ludzi. Tygodniki i miesięczniki, zapełniające swe szpalty poważnymi artykułami naukowymi i społecznymi — to zwykłe sobie *świstki rewolwerowe*, a siewca plotek i skandalów — *Kuryerek Warszawski*— to jedyny u nas organ poważny i godny czytania.

Rzecz dziwna tylko, że w ferworze polemicznym nie przyszedł p. Kaprysowi na myśl obrazek żaby, nadymającej się aż do pęknięcia, w celu dorównania wołowi i że zapomniał on o jednej bagatelce — o przytoczeniu nazwiska posła, w którego jakoby imieniu głosił swe bombastyczne jeremiady o upadku w parlamencie wiedeńskim patryotyzmu austryackiego. Jest to, bądź co bądź, przezorność godna uznania.

Ciemnota, brud i nędza.

Przeglądając dzienniki z ostatniego choćby tylko tygodnia, trudno się oprzeć wrażeniu, że trzy jędze życia współczesnego — ciemnota, brud i nędza — upodobawszy sobie szczególnie społeczeństwo nasze — nie przestają nam zsyłać swych błogosławieństw. Przybierają one najrozmaitsze postacie i kształty i z coraz to nowej strony wychylają swoje oblicze.

Zwracano już nieraz uwagę na fatalne skutki stałego zatruwania naszych rzek i strumieni przez różne nieczystości fabryczne i miejskie, lecz bezsilne biadania hygienistów pozostają biadaniami tylko, niemającemi żadnego wpływu na bieg najżywotniejszych spraw ludzkich. „W początku r. 1901 — czytamy w *Warszawskim Dzienniku* — z polecenia władzy utworzono komisyę z lekarzy, inżenierów, przedstawicieli inspekcyi fabrycznej i administracyi, celem zbadania przyczyn zepsucia wody w Pisi w pow. Sochaczewskim i zakażenia powietrza w okolicy wzdłuż biegu tej rzeczki, poczynając od cukrowni Hermanów. Badania stwierdziły, iż przyczyną są tu spuszczane z cukrowni do rzeki nieczystości, skutkiem czego woda zawierała substancye trujące, jak ozolowy amoniak, siarkowodór itd. Z tego względu w lipcu r. z. wszczęto sprawę sądową o zamknięcie cukrowni Hermanów. Pomimo długiego czasu, jaki już upłynął od owej chwili, sprawa nie jest dotąd rozstrzygnięta, a obecnie, po rozpoczęciu kampanii, ludność okoliczna znów jest narażona na smutne następstwa zakażenia wody. Zdarzają się już wypadki sporadyczne tyfusu, bydło po napiciu się zakażonej wody zdycha, ryby wyginęły, wkoło szerzy się okropne powietrze."

To jeden fakt znamienny, a teraz inny obrazek, który czerpiemy z *Wieku*. Rzecz dzieje się w rzeźniach warszawskich, „z których najmłodsza na Solcu datuje się z r. 1856, a inne, na Rybakach i na Pradze z XVI i XVIII wieku." Przedewszystkiem są one zabójcze dla pracujących tam czeladników rzeźnickich. Zupełny brak okien powoduje otwieranie drzwi i ustawiczne przeciągi; w rzeźniach panuje ciągła wilgoć z pary, buchającej z kotłów, pełnych brudnej wody, w której parzą się wieprze; na podłogach błoto nigdy nie uprzątane. Brak światła zmusza czeladnika do trzymania w zębach patyka, rozszczepionego na końcu, w który wetknięta jest świeca łojowa, podczas rozbierania wołu na części. Czeladź zrzuca wierzchnią brudną odzież na stoły, stolnice, niewywiezione ćwierci mięsa, buty zaś myje sobie w kadziach, przeznaczonych do płukania mięsa i oczyszczania wnętrzności zwierzęcych. Dalsze szczegóły przewozu mięsa do składu hurtownego i warunki, w jakich ono tam pozostaje, pomijamy, choć są one również wymowne i mogłyby niejednego z czytelników zachęcić stanowczo do jarstwa.

Lecz w paru słowach przynajmniej zwrócić jeszcze pragniemy uwagę na podniesione przez *Warszawskij Dniewnik* wyniki tegorocznej superewizyi w niektórych okolicach kraju. „Na stu popisowych—pisze korespondent tego organu z Włoszczowy (gub. Kielecka) — zaledwie trzecią część uznano za zdatną do służby wojskowej, pozostałe zaś dwie trzecie uwolniono, bądź z powodu małego wzrostu, bądź też skutkiem chorób i braków cielesnych, lub też udzielono im odroczenia, ażeby mieli czas zmężnieć, wyleczyć się z choroby; część wyprawiono do szpitala dla ściślejszego zbadania." Obok tego cherlactwa fizycznego, na które wpływa niewątpliwie zgoła niedostateczne odżywianie się ogółu ludności włościańskiej, superewizya ujawnia też niesłychane niechlujstwo wśród popisowych. Zapytywani oświadczają, że w ciągu swego dwudziestoletniego życia nie używali ani razu łaźni, nie kąpali się w rzece, nawet szyi nigdy nie myli. Skóra takich osobników pokryta jest grubą warstwą stwardniałego, lśniącego brudu, zmieszanego z potem, i wydaje ostrą, odrażającą woń. Niekiedy młode ciało smukłego, zdrowego chłopaka, bywa literalnie zjedzone przez pasorzyty, rzadko który nie cierpi na świerzbę, parchy lub inną chorobę skórną."

„Podnieść dobrobyt, zapewnić możność lepszego odżywiania się — mówi z tego powodu słusznie *Gazeta Polska* — to zadanie, którego trudność uznajemy, któremu jednak szybko podołać nie można. Lecz szczepić zamiłowanie czystości — to w naszej mocy."

Dodatki bezpłatne.

Niema już prawie pisma w Warszawie, któreby czegoś swoim prenumeratorom nie dodawało: dzieła ilustrowane i nieilustrowane, mapy, atlasy, obrazy, portrety, całe wydawnictwa po cenie kosztu (czytaj: po cenie księgarskiej), zeszyty, zeszyciki, aż do arkusików powieści francuskich, przekładanych bolesną nieraz polszczyzną, zawsze przez jedne i te same tłomaczki.

Ma to, obok niektórych złych, i swoje dodatnie strony, bo, ostatecznie, dobra lub niezła książka, dodana jako premium, trafi nieraz do takich zakątków, gdzie, prócz jakiejś gazetki lub kuryerka, latami całemi nie widziano drukowanego słowa. Dobry, wartościowy dodatek, jest zawsze rzeczą pożądaną, choćby sam wydawca robił na nim nienajgorszy „interes." Ale cóż mówić o takich wypadkach, kiedy w charakterze premium bezpłatnego dostaje się do rąk czytelników rzecz nietylko bezużyteczna, ale nawet wręcz szkodliwa? Zdarzyło się to jednemu z tygodników popularno-obrazkowych, który w szeregu dodatków bezpłatnych rozesłał swoim prenumeratorom podręcznik zoologii, pełen takich wołających o pomstę do nieba potwornych błędów, jakich nie dopuściłby się żaden uczeń wyższych klas szkoły realnej. Słowem, tego rodzaju „podręcznik" przyczyni się znakomicie do rozpowszechnienia najmylniejszych, najśmieszniejszych pojęć wśród „maluczkich" czytelników.

I to się nazywa szerzeniem wiedzy, niesieniem światła pod strzechy i na poddasza.

h.

BADANIA NAUKOWE.

CZŁOWIEK PIERWOTNY.*)

Do ciekawszych gałęzi nauki o człowieku należą dzieje człowieka pierwotnego. Nietylko odkrywają one przed nami nadzwyczaj ciekawą i ze wszech miar godną poznania przeszłość, ale zarazem dostarczają klucza do rozwiązania wielu zagadek w życiu człowieka współczesnego, a rozjaśniając nasz horyzont myślowy, obalają niejeden dogmat pseudonaukowy, biorący początek w nieuctwie. Więc też do pożądanych nabytków naszej literatury naukowej możemy zaliczyć dokonany świeżo przez p. Wermińskiego przekład książki Edwarda Clooda o człowieku pierwotnym.

Nauka o człowieku pierwotnym, czyli antropologia wykazuje, że człowiek istniał na długo przed tak zwaną epoką historyczną; następnie mówi nam ona wiele o różnych rasach ludzkich, a wreszcie o stanowisku człowieka w świecie organicznym. Stosunkowo niedawno dopiero przyszliśmy do przekonania, na podstawie niezbitych dokumentów naukowych, że człowiek znajduje się w blizkiem pokrewieństwie z całym światem organicznym i że pomiędzy nim a najwyższymi gatunkami małp istnieje raczej różnica ilościowa, a nie jakościowa. Przytem głośne do niedawna pytanie, czy człowiek pochodzi od małpy, jest całkiem bezprzedmiotowe, gdyż ogromne podobieństwo dowodzi tylko pochodzenia od wspólnego przodka, nic więcej. Różnice wytworzyły się powoli i dzisiaj są bardzo znaczne, jakkolwiek pozornie ograniczają się do rzeczy drobnych, bo do podstawy wzniesionej, rąk i mowy artykułowanej. Mózg tak bardzo różny u człowieka i u reszty zwierząt z rodziny naczelnych, to nie przyczyna, lecz skutek trzech wyżej wymienionych właściwości, które cechują ród ludzki. Ale nawet i te ilościowe różnice między człowiekiem a pozostałym światem zwierzęcym, chociaż ogromnie ważne, nie dałyby jeszcze człowiekowi panowania, gdyby nie uciekł się on do pomocy broni, na której wynalezienie i udoskonalenie dość wcześnie się zdobył. Użycie broni pozwoliło dopiero człowiekowi wyjść ze stanu barbarzyństwa i rozpocząć epokę cywilizacyi.

Z kolei nasuwają się pytania, kiedy i gdzie prawdopodobnie człowiek powstał i jaki był jego los, bodaj w przybliżeniu, w długiej epoce przedhistorycznej. Trudno powiedzieć coś pewnego o tem, w jakim okresie dziejów ziemi wystąpił przypuszczalny przodek człowieka, są jednak pewne dane potemu, że po raz pierwszy prarodzic człowieka zjawił się razem z przodkami lemurów, małp niższych i wyższych, w formacyi eocenicznej, to znaczy w najstarszej formacyi epoki trzeciorzędowej. Niektóre dane pozwalają nam przypuszczać, że linia małp i linia, kończąca się człowiekiem, zaczęły się rozbiegać bądź w końcu eocenu, bądź też na początku miocenu, to jest pośredniej formacyi epoki trzeciorzędowej. Całkiem pewne ślady człowieka spotykamy w epoce lodowej, a okres ten, rozpocząwszy się około 240,000 lat przed czasami obecnymi, skończył się około 80,000 lat temu. Zniknęło w tym czasie wiele gatunków zwierząt na ziemi, pomiędzy nimi

*) Edward Clood: *Człowiek pierwotny*. Z angielskiego przełomaczył Feliks Wermiński. — Teodor Paprocki i Sp.

mamut, który choćby dlatego zasługuje na uwagę, że szczątki jego spotyka się razem ze szczątkami człowieka. Za mało mamy danych na to, aby twierdzić, że człowiek przed pierwszym okresem lodowym żył w Europie zachodniej, ale ponieważ, do małpy podobny, oddzielił się od niej najpóźniej na początku formacyi miocenicznej, przeto jeżeli nie w Europie zachodniej, to gdzieśindziej istnieć musiał. Pytanie tylko, gdzie?

Według Wallace'a, prawdopodobną kolebką człowieka była Azya. Jeżeli tak, to nic dziwnego, że względnie tak mało wiemy o pierwotnych dziejach jego. Ląd azyatycki jest bardzo mało zbadany. W czasie pleistocenicznym mamy już pewniejsze dane co do historyi człowieka w Europie, a ten czas zgodnie z archeologami duńskimi możemy podzielić na wiek poleolityczny, neolityczny, miedziany czyli bronzowy i żelazny.

O dawnym wieku kamiennym wiemy właściwie bardzo niewiele, bo musimy ograniczyć się do tej szczupłej ilości zabytków, które znajdują się w osadach rzecznych i jaskiniach, ongi niewątpliwie przez człowieka paleolitycznego zamieszkanych. Zabytki te, to wyroby z kamienia, przeważnie z krzemienia, dającego się najłatwiej obrabiać. Oprócz narzędzi znajdujemy też ślady ognia i niezdarne rysunki na kawałkach kości. Autor podaje nam dosyć obszerny i ładny opis prawdopodobnego wyglądu człowieka jaskiniowego, pomagając sobie przytem z jednej strony wyobraźnią, z drugiej — stanem niektórych współczesnych ludów dzikich, pozostających dotąd na poziomie człowieka jaskiniowego. Ludzie tego wieku żyli — zdaniem jego — jako plemiona koczujące, z polowania; obozowali na brzegach rzek pod drzewami lub mieszkali w chatach z gałęzi; w razie potrzeby chronili się do pobliskich jaskiń lub pod nachylone skały. Za pomocą dzid i strzał z ostrzami łowili ryby i polowali na ptaki; cięższy oręż kamienny służy im na grubszą zwierzynę: mamuta, bizona, nosorożca, łosia i konia. Mięso, rozcięte na sztuki nożami krzemiennymi, gotowano w naczyniach z drzewa lub skóry, wrzucając gorące kamienie. Kości rozłupywano dla otrzymania szpiku. Skóry, wyskrobane ostrym kamieniem, zszyte nitkami ze ścięgien za pomocą igieł kościanych, zabezpieczały ciało od dotkliwych niekiedy mrozów; nawet ręce były okrywane długiemi rękawicami.

Więcej bez porównania wiadomości posiadamy o nowym wieku kamiennym. Najpospolitszą postacią narzędzia neolitycznego jest siekacz, który ma kształt płaskiej klingi, w przecięciu zbliżającej się do postaci owalnej, dwie strony boczne są mniej lub więcej proste, jeden koniec zaś szerszy i ostrzejszy, niż drugi. Długość bywa zmienna i wynosi od dwóch do szesnastu cali. Materyał, z którego to narzędzie wyrabiano, należał do kamieni najpospolitszych w danej okolicy. Dokoła tych siekaczy, czyli dłut krzemiennych skupiło się wiele przesądów; narzędzia te ludność wiejska nazywała „strzałami piorunowemi“ lub „toporami piorunowymi.“ a przypisywała im nadziemskie pochodzenie, jako też własności cudowne. Dla wieku neolitycznego znamienne są również tak zwane odpadki kuchenne, znajdowane zwykle na brzegu morza lub wzdłuż biegu rzek; w odpadkach tych spotykamy charakterystyczne bardzo dla tej epoki pierwsze wyroby garncarskie i kości psów, co świadczy o zaczynaniu się życia osiadłego.

Główną rasą ludzką w epoce neolitycznej byli długogłowi Iberowie, którzy do dziś dnia istnieją szeroko rozsiani bez żadnej istotnej zmiany w swych własnościach fizycznych. Po Iberach nastąpili szerokogłowi Celtowie, i te dwie rasy wypełniły cały okres neolityczny, przynajmniej w Wielkiej Brytanii.

Dla poznania stosunków wieku neolitycznego najlepiej jest badać ówczesne grobowce, w nich bowiem kryją się dobrze zachowane szczątki narzędzi, dzięki którym można sobie wytworzyć pojęcie o zwyczajach i wierzeniach ludu tego okresu. W epoce neolitycznej spotykamy pierwsze ślady wierzeń w duchy, jako też wypływający z nich kult zmarłych i cześć, jaką od najdawniejszych czasów ludzie otaczają miejsca ich spoczynku, groby i kurhany. Rzecz prosta, że wiara w duchy musiała oprzeć się na niezdolności wyjaśnienia sobie wielu najprostszych a najpospolitszych zjawisk, jak np. snów, które musiały koniecznie wywołać pojęcie o jakiemś drugiem ja, niemateryalnem i oddzielającem się od ciała po śmierci, a niejednokrotnie i za życia. Tajemniczość zjawiska nie mogła nie przejmować trwogą oraz chęcią zjednania sobie tych niewidzialnych wrogów lub sprzymierzeńców; i stąd wzięły początek ofiary pośmiertne, wznoszenie wspaniałych grobów, uczty pogrzebowe, przypisywanie zmarłym, a raczej ich duchom, władzy wpływania na bieg spraw ziemskich. Rzecz jasna, że bez znajomości tych pierwotnych pojęć człowieka neolitycznego nie bylibyśmy w stanie wyjaśnić sobie wielu wierzeń, przesądów i zabobonów.

Od najwcześniejszych zaczątków kultu zmarłych groby ich otaczano opieką i czcią; z wieku neolitycznego przechowało się kilka typów grobowców, a mianowicie prosty kamień, zwany menchirem, dolmeny i kromlechy. Wznoszenie nagrobków pozostaje w ścisłym związku z jedną jeszcze ciekawą stroną kultu starożytnego, a mianowicie z czcią boską, oddawaną kamieniom. Ta forma bałwochwalstwa, panująca kiedyś powszechnie, zachowała się do dziś dnia, jak świadczy między innymi słynny kamień w Mecce, który jest niewątpliwie meteorytem.

Kromlechy, z których najciekawszy znajduje się w Anglii w Stonehenge, istnieją rozsypane po całej kuli ziemskiej i świadczą o istnieniu na całym jej obszarze tej samej epoki neolitycznej, o tych samych cechach kulturalnych. Do dziś dnia kamień odgrywa ważną rolę w oddawaniu czci ludziom zmarłym, jako też istotom nadprzyrodzonym.

Bardzo wiele ciekawych danych, dotyczących wieku neolitycznego, dostarczają nam budowle nawodne, spotykane wszędzie, ale szczególniej obficie w Szwajcaryi. Wprawdzie około tych budowli spotkać można również często narzędzia kamienne, jak bronzowe i żelazne, ale z tego można tylko wyciągnąć wniosek, że mieszkańcy budowli nawodnych przeszli w swych mieszkaniach przez wszystkie trzy epoki rozwoju kulturalnego ludzkości. W pozostałościach budowli wodnych, obok wyrobów garncarskich, spotykamy jeszcze ślady tkania i wyplatania, jakoteż niewątpliwe dowody przechodzenia do rolnictwa i hodowli bydła rogatego. Nieslychanie ciekawy rozdział książki poświęcony został pochodzeniu mieszkańców budowli nawodnych, jako też rozbiorowi różnych hypotez, dotyczących wędrówki ludów Azyi do Europy lub odwrotnie, lecz nad szczegółami temi zatrzymywać się już nie możemy.

Przy końcu dziełka swego przechodzi autor do wieku kruszców. Po odkryciu ognia źródłem największego postępu rozwoju ludzkości były, zdaniem jego, metale, a najwięcej śladów tej epoki znajdujemy w budowlach nawodnych, których mieszkańcy rozwinęli do wysokiego stopnia kult wody,i stworzyli całe mnóstwo bóstw wodnych, jakoteż związanych z niemi przesądów i zabobonów.

W tych przykładach z epoki dawniejszej i obecnej, kończy autor, w przykładach rzeczy i sposobów myślenia występuje jasno jedność rodu ludzkiego. Nie zmieniliśmy się tak bardzo, jak z dumą nieraz myślimy. Jeżeli w każdym z nas część cywilizowana jest dość nowa, to w budowie ciała i zdolnościach dziedzicznych mamy natomiast po kilka tysięcy lat wieku. Niewesoły to wniosek dla tych wszystkich, którzy radzi widzieć szybszy postęp rodu, ludzkiego, uwalniającego się tak powoli od więzów zamierzchłej przeszłości.

Wojciech Szukiewicz.



ZE SZTUKI.



Druga wystawa krakowskiego Towarzystwa sztuki stosowanej.

Wystawa ta, urządzona w gmachu Tow. zachęty sztuk pięknych w Warszawie, jest przedewszystkiem znamiennym objawem rozwoju naszych pojęć w kierunku poszukiwania pierwiastków piękna, nietylko nowych i oryginalnych, ale — co więcej — swojskich. Tu spoczywa bodaj że najważniejsze jej znaczenie.

Cofnijmy się do stanu pojęć z przed lat dziesięciu, a może nawet i bliżej i wyobraźmy sobie, jaką by była rozmowa organizatorów takiej wystawy, jak obecna, z osobami, które mają pretensyę do przedstawicielstwa w Warszawie potrzeb sztuki naszej, np. z jakimś ówczesnym komitetem Tow. zachęty sztuk pięknych.

(Scena przedstawia przedsionek wystawy, zawalony już stosem pak, do których wciąż przybywają nowe).

Organizator. Szanowni panowie! Przywiezione przez nas przedmioty mogą stanowić materyał do stworzenia polskiej sztuki zdobniczej w formach oryginalnych i charakteryzujących naszą kulturę. Każdy naród cywilizowany musi mieć tak samo własną sztukę, jak ma własną literaturę. Bez tego jest pegazem o trzech nogach.

Członek kom. (z miną uroczystą, ściskając nieustannie dłoń organizatora). Panowie, jesteśmy na wasze rozkazy. Rozporządzajcie nami i naszym gmachem. Co rozkażecie, to wykonamy wedle sił naszych. Pragniemy zawsze służyć sztuce naszej i być na usługi artystów. (Do służby): Otwierać paki, opróżniać sale! *A tout seigneur tout honneur!*

(Woźni otwierają pierwszą pakę. Komitet wyciąga ciekawie szyje. Ogólne zakłopotanie i zmieszanie).

Pierwszy z komitetu (delikatnie). Tu, zdaje się, zachodzi jakaś pomyłka co do pak.

Organizator. Bynajmniej.

Drugi z kom. Przecież to, zdaje mi się, jakaś... szafa, a to... krzesło.

Org. Właśnie. Usilujemy nadać meblom formy i ozdoby swojskie. Czerpiemy z motywów ludowych.

Trzeci. Może ja się na tem nie znam, wyznam jednak, że fotel lub biurko w stylu Ludwika XV daleko jest piękniejsze i odpowiedniejsze do naszych mieszkań, niż te, daruje pan, dziwactwa.

Org. Być może, ale style Ludwików są wytworem obcej kultury, a nie naszej. Zresztą to są dopiero usiłowania, pierwsze kroki... Tworzymy prawie z niczego, bo zamiłowania naszych przodków były podobne naszym, tj. że wszystko to uznawali i oni za dobre, co było „zamorskie,“ więc

też styl własny z trudnością się tworzył, a i z tego, co było, pozostało śladów niewiele. Z czasem styl nasz może dorównać pięknem i oryginalnością stylom Ludwików i innym.

Drugi z kom. (z całem ugrzecznieniem). W każdym razie szan. panowie muszą uwzględnić nasze położenie, że nie możemy z wystawy naszej robić składu mebli. (Otwierają drugą pakę). A to co?

Org. Kilimki i dywany, oparte na wzorach ludowych.

Pierwszy. Bardzo gustowne, ale nie możemy robić konkurencyi Tatarom, chodzącym po podwórzach.

Drugi. Możemy służyć panom kilkoma adresami właścicieli sklepów z dywanami... Może oni wzięliby to w komis... A tam co?

(Otwierają inną skrzynię. Oblicza się rozpogadzają).

Wszyscy (półgłosem). Nareszcie obrazy czy rysunki...

(Woźny podnosi w górę jarmarczny obrazek jakiegoś świętego w starych chłopskich ramach; inny wyciąga paczkę fotografij z widokami drewnianych kościołków, figur przydrożnych, starych domostw itp. Ogólne zdumienie i zawód).

Org. To są usiłowania naszych polskich *prymitywistów*, a fotografie ratują te nieliczne już pamiątki budownictwa dawnego, których z każdym rokiem część się pali, część przewraca ze starości, a część sami ludzie rozwalają, budując na tem miejscu ładniejsze, według nich, wille szwajcarskie.

Wszyscy (hamując niecierpliwość). Bardzo ciekawe! Bardzo ciekawe! Ale cóż my z tem zrobić mamy? Lepiej by wyszukać jakąś bibliotekę, która ma jeszcze strych wolny... A co do tych bohomazów, przepraszam, co do tych obrazów, to niech panowie pomyślą, coby nam powiedzieli ci artyści, którzy wystawiają u nas swe obrazy, i to wszystko *olejno* malowane *na płótnie?* Ci ludzie kształcili się za granica! w Monachium, w Paryżu, w Rzymie, i mieliby wystawić swe prace obok jarmarcznego malowidła?

Org. Lecz i w tym obrazku nie trzeba się doszukiwać doskonałości, ale badać to naiwne wykonanie i pomysł, choć może trochę barbarzyński, ale nie skażony szablonem dresury szkolnej monachijskiej lub innej.

(Woźny wyciąga niedbale z paki jakąś szmatę, która się o gwóźdź rozdziera. Komitet stoi obojętnie, wpatrzony w sufit).

Pierwszy (spostrzegając). Patrzcie, panowie! Pasy słuckie! (do woźnego): Wyjmij uważniej!..

(Komitet na chwilę się ożywia i zaczyna panować ton cieplejszy. Rozmowa toczy się dokoła pytania, kto z obecnych ma jakie pasy i po kim je odziedziczył).

Drugi (pochrząkując i starając się przybrać ton jak najgrzeczniejszy). Rzeczywiście... bardzo to wszystko ciekawe... serdecznie jesteśmy panom obowiązani... ale tego... widzi pan... to wszystko kwalifikuje się do sklepów z meblami, z dywanami, do kostiumerów, wynajmujących ubrania na maskarady, a w najlepszym razie do jakichś muzeów: etnograficznego, archeologicznego lub rzemieślniczego. (Prędko i głośniej). Ale to nie ma nic wspólnego ze sztuką (ogólne potakiwania), a my, szanowny panie, służymy tylko sztuce, sztuce czystej, sztuce *europejskiej* (szmer aprobaty). W przyszłym tygodniu sprowadzamy wielki sensacyjny obraz malarza hiszpańskiego Rozmazy de Paprala z Madrytu, malowany w Paryżu, a przedstawiający „Rzeź w haremie w Konstantynopolu.“ Artysta malował go przez trzy lata i żąda pół miliona franków! Obraz ten zajmie największą naszą salę, więc wybaczą panowie, że dla braku miejsca... tymczasem... może innym razem... (do woźnych): Zapakujcie to napowrót starannie!

Podobne sceny rozegrać by się u nas mogły przed laty mniej więcej dziesięciu. Dziś jednak pragnienie czegoś swojskiego i poczucie, że Sztuka jest jedną we wszelkich formach i objawach, tak jest już silnie rozbudzone wśród naszych artystów i publiczności, że żadne komitety nie mogłyby zagrodzić wejścia nie przez wszystkich jeszcze tolerowanym wytworom sztuki stosowanej do przybytku, przeznaczonego, według niektórych, wyłącznie tylko dla obrazów i rzeźb, dla obstalunkowych portretów, oklepanych studyów krajobrazowych i popularnych polowań. Nadrabiają więc miną, stosując się do prądu ogólnego i roztwierają podwoje przybytku sztuki dla tych nowatorskich usiłowań. Nie wytwarzają prądów nowych, ale dają się tylko porwać tym, które często wbrew ich woli, a przynajmniej bez ich pomocy potrafiły się same rozwinąć.

Trzeba jednak pamiętać, że to są dopiero pierwsze kroki, pierwsze usiłowania na tej drodze, i to usiłowania niewielkiej garstki ludzi prywatnych, spotykających się jeszcze często z obojętnością lub nawet lekceważeniem dla swej pracy. O jakiejś więc skończonej całości mowy być jeszcze nie może. Wszystko zawarło się w 400 niespełna okazach, zajmujących trzy nieduże sale, a złożyły się na nie najrozmaitsze działy, jak sztuka ludowa, zabytki dawne, zabytki polskiego budownictwa drewnianego, stroje i meble ludowe, ładny bardzo zbiór pasów polskich i makat, wreszcie dział usiłowań współczesnych, gdzie znalazło się wszystko, co z cechą stylu swojskiego stworzono, zacząwszy od afiszów, mebli, inkrustacyi drzewnej, wyrobów garncarskich, kaflarskich i ceramicznych, aż do ubrań, dywanów, wyrobów koszykarskich, introligatorskich, haftów i wreszcie budownictwa; nadto wiele bardzo rysunków i fotografij, dotyczących tych działów. Były więc to raczej zaczątki działów, wypełnione obficie i wyczerpująco.

Co do wystawionych zabytków budownictwa (przeważnie drewnianego), to wykazują one, że motywy swojskie możemy odnaleźć jeszcze na przestrzeni całego kraju. Mają one wspólną między sobą łączność i często przypominają motywy zakopiańskie. Jest to skarbnica, którą każdy powinien wzbogacać nowymi dokumentami pod postacią rysunków lub fotografij, bo czas, pożary i niedbalstwo ludzkie są bezlitosnymi tępicielami tych zabytków. Motywy dawne słupów, wiązań, drzwi i okien, podsieni, ganków piętrowych, wschodów zewnętrznych krytych, prowadzących na takież balkony wzdłuż całego domu biegnące, wreszcie wiązań dachowych, tworzących charakterystyczne stopniowanie dwóch lub trzech dachów jeden nad drugim, można odnaleźć jeszcze w dawnych bramach, dworach wiejskich, lamusach, dzwonicach i kościołkach drewnianych i względnie bardzo często w małomiasteczkowych bóżnicach, posiadających czasem bardzo ciekawe formy. Rzeźba drewniana, służąca dla ozdoby tych budynków, jest również bardzo ciekawym zabytkiem.

Wielki model z drzewa, przedstawiający willę w stylu zakopiańskim, pomysłu Stanisława Witkiewicza, zwracał na wystawie powszechną uwagę. Szereg afiszów, utrzymanych w motywach swojskich, był też bardzo piękny i ciekawy. Znamiennym i pocieszającym objawem naszego rozwoju jest powstanie w Warszawie zakładu artystycznego dla witrażów pp. Białkowskiego i Skibińskiego; dostarczył on na wystawę kilku pięknych okien kolorowych. Wprawdzie istniało już przedtem w Warszawie kilka tego rodzaju zakładów, lecz przez szereg lat nie wykazały one szerszych usiłowań w celu stworzenia czegoś nowego i pięknego. Posługiwano się albo wzorami zagranicznymi, albo przystosowywano je do kartonów, wykonanych przez artystów naszych, przygodnie tą sprawą się zajmujących, a więc nieprzygotowanych dostatecznie do stworzenia czegoś oryginalnego i nowego.

Że nie wszystkie usiłowania i próby uważać można za szczęśliwe, to więcej, niż pewne. Weźmy choćby dla przykładu pracę tak zdolnego artysty i poety, jak Stanisław Wyspiański. Ozdobił on tom poezyj L. Rydla winietkami, zaczerpniętemi wprawdzie z motywów ludowych, ale daleko odpowiedniejszemi do kajeciku wzorów znaczenia bielizny i haftów niż do ozdoby tomu poezyj.

Styl nowy nie może zjawić się nagle, jak grzyb po deszczu. Dziesiątki lat i praca setek ludzi musi się nań złożyć, a więc nie możemy zbyt surowo krytykować obecnych usiłowań w tym kierunku. Po pierwszych krokach nastąpią dalsze, coraz śmielsze i pewniejsze. Trzeba więc cierpliwości i pracy, bez przesadnych natychmiastowych entuzyazmów, po których z konieczności przyszłyby zniechęcenie i reakcya. Ustawiczne dążenie w nowym kierunku, ciągłe usiłowania i próby zrobią swoje, tylko potrzeba na to czasu. Zasługa więc organizatorów tej wystawy jest w każdym razie niemała.

Sierp.

Notatki literackie i artystyczne.

— Zasłużony badacz dziejów naszych, A. Kraushar, ujmuje czasem lutnię poetycką. Świeżo wyszły jego *Strofy jesienne*. Są to wymowne aforyzmy, myśli, uwagi, spostrzeżenia itd. Oto jeden z tych wierszyków:

Ciasno na ziemi pragnieniom ducha,
To z snu się budzą, to drzemią,
W duszy człowieka wre walka głucha
Pomiędzy niebem a ziemią,
Wśród krwawych zwątpień, co mózg nasz tłoczą,
Życie upływa nam całe,
Aż nas nareszcie z ziemią zjednoczą
Cztery deseczki spróchniałe.

— Edmond Demolins: *Les grandes routes des peuples — Les routes des l'antiquité.* Autor dowodzi, że różnorodność ludów zamieszkujących ziemię zależy wyłącznie od kierunku, który przyjęły ich wędrówki, że rasę i typ społeczny wytwarza droga, a wszelkie odmiany w tej rasie i w tym typie są ściśle związane z warunkami i z naturą przebywanych przestrzeni.

— Wydawca paryski, Armand Colin, wydał w seryi *Literatury zagraniczne*, literaturę japońską pióra angielskiego autora, W. G. Aston'a w przekładzie Henry D. Davray'a. Książka, objętości blizko czterystu stronic, daje obraz całości literatury japońskiej od jej zaczątków aż do chwili bieżącej. Badacze działalności kobiecej na polu kultury umysłowej znajdą tu także ciekawy materyał do studyów, w rozdziałach opisujących epoki literackie, w których autorki japońskie prawie niepodzielnie panowały.

POEZYA. R. Wagner: „Walkirya,“ pierwszy dzień z trylogii „Pierścień Niebelunga.“ Tło. T. Mianowski. Nakład. Połonieckiego, w ks. Wendego.

— Jan Neruda: „Pieśni kosmiczne,“ tłom. K. Zaleski. Gebethner i Wolff.

— Jan Kasprowicz: „Salve Regina.“ Hymn św. Franciszka z Asyżu. Judasz. Marya Egipcyanka.

„Moja pieśń wieczorna,“ nakł. Połonieckiego. Wende.

— Cezary Jellenta: „Kraswa,“ nakł. autora, w ks. Fiszera.

— A. Miecznik: „Mistrz Twardowski,“ wyd. Jana Fiszera.

— Z teki samouka: „Poezye.“ Gebethner i Wolff.

PROZA. Edgar Allan Poe: „Morderstwo na rue Morgue,“ przekł. W. Szukiewicza, nakł. Wendego.

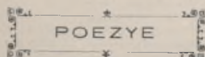
— Neuwert - Nowaczyński: „Małpie zwierciadło,“ satyry, nakł. Połonieckiego, Wende.

— Zdziarski: „Z menażeryi ludzkiej,“ Szkł. w ks. Wendego.

— W. Weresajew: „Spowiedź lekarza,“ spolszczył Gutowski. Fiszer.

— M. Mutermilch: „Smutne dusze.“ Gebethner i Wolff.

— Grajbner: „Marszałek.“ Dubowski.



Farao.

Tajemnic, które kryją mu wróżkowie,
Dawno już władcy ciekawość łaknęła!..
W końcu, co kryją, raz przecie się dowie...
Zatem do dzieła!

Gwar porzuciwszy biesiady,
Słodkie pokusy rozpusty,
Drżący i blady,
Ze zsiniałemi usty,
Z piersią wzburzoną,
Niepostrzeżenie
Nakształt gadu syn słońca przepełzał przez cienie;
Ukradkiem, chyłkiem— bez szmeru jak mucha,
Wpadł do świątyni... Skryty za oponą
Patrzy i słucha.

Noc czarna pod powałą,
Pośród filarów cień mętny szarzeje...
W głębi, nieśmiało,
Wydzierając się pomroce
Mdłym blaskiem, jak rozpaczy ostatnie nadzieje,
Kaganków kilka migoce.

Z kadzielnic ambra się dymi...

Jak potwór, gdy go sen twardy opęta,
Przegląda zmora kirem owinięta:
Ołtarz olbrzymi.

Zda się, martwość pod martwą siedzi tam powłoką,
A jednak, gdy kaganków blask pnie się pod górę,
Przysiągłbyś, że zadrżało zjawisko ponure...

Na czole złoty napis błyska, niby oko,
Rozwarte we śnie,
Naprzemiany: drapieżnie, to znowu boleśnie.

Pławiąc się w wizyi złotej,
W ekstazie,
W ogniach tęsknoty,
Na posadzki zimnym głazie
Kapłańskie przyklękły roty.
Z kadzielnic płynie dym,
W kagankach migoce skra.
Z kapłańskich ust, wtórując im,
Modlitwa płynie, płonie, łka...

„Nad zwątpień mętną krynicą,
Nad wiedzy przeczystym zdrojem,
Nad zagadek głębią czarnolicą,
Nad rozjaśnień uśmiechniętym szczytem,
Nad wszystkiem jasnem i skrytem
Ty, Izis, tchnieniem unosisz się swojem...

O, jak szczęśliwi
Ci, co poszli! Przy twoim stole ich biesiada;
Twój pokarm serca im żywi,
Twój napój ukojeniem ich darzy...
A gdy pokrzepią się już,
Twój głos im wówczas dziwy opowiada.
Na zatopionych w zachwytu zadumie
Pęka powijak fałszu, w którym jak najszczelniej
Są oplątane ich mumie
I widzą ciebie, ciebie — nieśmiertelni!

„O, jakże nieszczęśliwi
Śmiertelni!.. Życie ich życiem szukania.
Od dziecka do dni, kiedy starość włos usiwi
I dalej, do ostatnich tchnień!
Męczarnią im noc i dzień.
Twe kształty ciężka opona zasłania,
Mrok jest na ziemi twą drogą —
I tak szukają i znaleźć nie mogą,
Ni ujrzeć ciebie!..

„Wymykasz się, jak gazela,
Jak żwawe rzesze ptaszęce...
Nieraz nadzieja już ich rozwesela,
Że pochwycona-ś, że dzierżą cię w ręce,
A wtem opada wytężone ramię:
Chwycili tylko cień i cień ten — kłamie.
I tak pod słońcem dla nich wciąż się pleni
Cień fałszów, albo fałsz cieni!“

. . . .

St. Rossowski.



Przemysł rosyjski.

W OŚWIETLENIU URZĘDOWEM.

II.

O położeniu robotników przemysłowych w państwie rosyjskiem podają nam pp. Tigranow i Dementjew następujące informacye: Przedewszystkiem co do górników i hutników. Jest ich w całem państwie 548,000. Z tych przeszło połowa — 314,000 — zajęta jest w kopalniach żelaza i w hutach żelaznych, a z tej liczby znowu połowa — 155,000 — przypada na sam Ural. W samych kopalniach żelaza pracuje jednak wogóle tylko 40,000 robotników, reszta — 275,000 — to hutnicy. Dalej, 75,000 pracuje w kopalniach złota, 8,000 w kopalniach platyny; z tych dwóch kategoryj znowu połowa przypada na Ural, reszta — na Syberyę Wschodnią (29,000) i Zachodnią (10,000). W kopalniach węgla znajduje zatrudnienie 65,000 robotników, z tych 46,000 w zagłębiu donieckiem, 13,000 w Królestwie Polskiem. Dalej, przy wydobywaniu soli pracuje 18 tysięcy robotników, miedzi — 10 tys., nafty — 21 tys., w kamieniołomach — 26 tys., itd.

Zarobki są bardzo różne nietylko w różnych gałęziach przemysłu, ale i w różnych prowincyach. Na Uralu np. w kopalniach żelaza zarobek roczny waha się między 121 a 207 rublami; ale tam przechowuje się jeszcze z dawniejszych czasów, kiedy robotnicy byli przypisani do fabryk, zwyczaj dawania części zarobku w naturze: w materyałach spożywczych, drzewie, nawet kawałkach gruntu pod uprawę. W Królestwie Polskiem w przemyśle żelaznym zarobek roczny wynosi przeciętnie od 120 do 200 rb. W okręgu tobolsko-akmolińskim robotnik zarabia 50 kop. dziennie, około 12 rb. miesięcznie za 8 do 10 godzin pracy na dobę; znaczna część robotników składa się tam z Kirgizów.

W kopalniach i przemywalniach złota zarobki są bardzo zmienne. Kirgizi w okręgu siemipałatyńskim-siemireczeńskim zarabiają tylko 3—7 rb. miesięcznie; robotnicy rosyjscy w okręgu tomskim od 100 do 200 rb. rocznie i oprócz tego utrzymanie; w jenisejskim — mężczyźni od 10 do 25 rb. miesięcznie, kobiety od 6 do 15 i również utrzymanie, którego wartość przedsiebiorcy obliczają na 9 rb. miesięcznie; w dalszych prowincyach Syberyi, ku Wschodowi, zarobki są większe i dochodzą do 30 rb. miesięcznie, bo też i utrzymanie jest znacznie droższe; często przytem przedsiebiorca dostarcza środków spożywczych.

Robotnicy w kopalniach węgla mają bardzo różny charakter w zagłębiu donieckiem i w Królestwie Polskiem. Pierwsi nie są właściwie robotnikami stałymi, lecz rekrutują się z ludności wiejskiej. Miejscowych, a raczej głównie z sąsiedniej gub. Charkowskiej, jest tylko 15%, reszta przywędrowuje z gubernij Tulskiej, Orłowskiej, Kurskiej, Tambowskiej itd. Przeważnie pracują oni w kopalni tylko przez zimę a na wiosnę powracają do siebie, na wieś. Załoga kopalniana jest wogóle do tego stopnia niestała, że zmienia się całkowicie w ciągu dwóch lub trzech lat. Pracują przeważnie „artelami“ i są zwykle płatni od sztuki. Robotnik na powierzchni otrzymuje około 80 kop. dziennie, kopacz rubla w zimie, 1 rb. 40 kop. w lecie, pomocnicy przy taczkach i wózkach od 80 kop. do rubla. Jednak zarobek roczny kopaczy wynosi przeciętnie tylko 230 rb., pomocników 180, a to dlatego, że odpoczywając przez mnóstwo dni świątecznych i nieświątecznych, pracują tylko przez 200 dni na rok. Praca każdej zmiany w ciągu doby trwa 8 do 10 godzin, tylko niewielka część płatnych od sztuki, pracuje 12 godzin na dobę; ale w nocy też jedna zmiana pracować musi.

W kopalniach węglowych Królestwa Polskiego ze świętowaniem rzecz ma się zupełnie inaczej, i oczywiście załoga robotnicza jest bardziej stała, nie wędrowna. Zarobki co do Sosnowca podane są na 65 kop. dziennie dla robotników na powierzchni, dla kopaczy na 1 rb. 75 kop. przeciętnie, dla pomocników różnych kategoryj — na 90 kop. Podług danych, dostarczonych przez francusko-włoskie Towarzystwo kopalni w Dąbrowie, zarobek miesięczny kopaczy wynosi przeciętnie 43 rb., pomocników pod powierzchnią — 20, na powierzchni — 18 rb.

W hutach cynkowych pod Będzinem zarobki wynoszą od 1 rb. 20 kop. do 2 rb. 25 kop. dziennie.

Przy nafcie na Kaukazie praca jest tak uciążliwa, że robotnicy starsi nad lat trzydzieści już są przeważnie do niej niezdolni. Zarobki też są wyższe, niż gdzieindziej. Fachowcy, rzemieślnicy i mechanicy, dostają od $1\frac{1}{2}$—4 rb. dziennie, niektórzy aż do 200 rb. miesięcznie; prości robotnicy od 15—30 rb. miesięcznie; między tymi ostatnimi jest dużo Persów, którzy przybywają ze swej ojczyzny szczególniej na zimę, gdy nie znajdują zajęcia na roli; przedsiebiorcy są z nich bardzo zadowoleni, gdyż Pers nie pije i nie obchodzi prawie żadnych świąt.

Co do zarobków robotniczych wogóle, to p. Dementjew bierze za punkt wyjścia i porównania okrąg centralny, mianowicie gubernię Moskiewską i Włodzimierską. Tam zarobek przeciętny robotnika, mężczyzny dorosłego, wynosi 14—15 rb. miesięcznie, kobiety dorosłej — 10 rb., młodzieży płci męzkiej do lat 17 — $7\frac{1}{2}$ rb., płci żeńskiej — $6\frac{1}{2}$ rb., dzieci do lat 15 — 4—5 rb. na miesiąc. W miarę posuwania się ku Zachodowi zarobki wzrastają; w Królestwie Polskiem, jak również w prowincyach Nadbałtyckich i w Petrsburgu są prawie o 50% wyższe, niż w guberniach środkowych. Ku Południowi daje się również zauważyć wzrost zarobków, choć nie w takim stopniu, jak na Zachodzie; natomiast im dalej na wschód (w granicach Rosyi europejskiej), tem zarobki są jeszcze niższe, niż w okolicach Moskwy, i zniżka dosięga 20%. Te różnice zarobków autor tłomaczy w części tem, że w prowincyach zachodnich robotnicy pracują przez 290 do 295 dni w roku, a w środkowych tylko 280 do 285 (rzadko tyle), we wschodnich zaś nie więcej nad 270. Sam jednak mówi, że z drugiej strony w prowincyach zachodnich pracuje się przez mniejszą ilość godzin na dobę, niż w środkowych i wschodnich.

Przechodząc do ważniejszych poszczególnych gałęzi przemysłu, najwyższe zarobki trafiają się w warsztatach mechanicznych, a mianowicie w guberniach środkowych do 25 rb. miesięcznie, a dla niewielkiej ilości najlepiej wykwalifikowanych robotników — 40, 50, czasami i 100 rb. Praca trwa przez 10 do 11 godzin na dobę. (Wysokość zarobków tej najlepiej płatnej kategoryi robotników w innych

prowincyach da się określić mniej więcej podług powyższego stosunku ogólnego).

Już w przemyśle bawełnianym, do którego należy w gub. Moskiewskiej i Włodzimierskiej 61% ogółu tamtejszych robotników, a w całem państwie — 316,000, zarobki są o wiele mniejsze. Tu właśnie dorosły mężczyzna zarabia 14 rb. miesięcznie, kobiety — bardzo liczne — 9 rb. Fabryki idą przez 21 godzin na dobę, dwoma zmianami. Nieco lepiej płatni są mężczyźni w przemyśle wełnianym i zarabiają do 17 rb. miesięcznie, lecz zato zarobek kobiet, co prawda tutaj mniej licznych, spada do 7 rb.

W cukrowniach robotnik dorosły zarabia: w gub. środkowych przeciętnie 12 rb. na miesiąc, w południowo-zachodnich—13, w Królestwie Polskiem — 16 rb. 70 kop.; kobiety od 6 do 7 rb., odpowiednio do tych miejscowości. Jeśli, co zdarza się u 30% robotników, są oni żywieni w fabryce, to zarobek zmniejsza się o 37 do 25%.

W hutach szklanych robotnik dorosły zarabia rzadko 13 rb. na miesiąc, kobieta przeciętnie tylko 5 rb., lecz często rodzina robotnicza otrzymuje mieszkanie z kawałkiem ogródka.

Obrazu położenia materyalnego robotników fabrycznych dopełniają informacye o ubezpieczeniu ich od nieszczęśliwych wypadków, o pomocy w razie choroby i o mieszkaniach robotniczych.

Ubezpieczenie państwowe, jak wiadomo, nie istnieje. Jest tylko ogólny obowiązek prawny odszkodowania, ciążący na fabrykancie w razie przyprawienia robotnika o utratę życia, zdrowia lub możności zarobkowania. Chcąc jednak zabezpieczyć się na wypadek przegrywania wynikających stąd procesów z robotnikami, fabrykanci zwrócili się do towarzystw asekuracyjnych. Pierwsze z nich, „Rosya,“ w r. 1888 otworzyło wydział ubezpieczeń na ten wypadek, poszło za niem pięć innych, w r. 1898 powstało w Rydze pierwsze stowarzyszenie wzajemnego ubezpieczenia fabrykantów, a w r. 1901 — drugie, w okręgu moskiewskim *). Prawo robotnika do dochodzenia swego odszkodowania na drodze sądowej nie zostaje przez te prywatne umowy naruszonem, zarówno jak prawo sądu do oznaczenia wysokości żądanego odszkodowania; fabrykanci ubezpieczają tu *siebie samych* za pomocą stałych niewielkich wkładek od nagłych i niespodziewanych wydatków większych i od kosztów procesu, ponieważ towarzystwo asekuracyjne bierze już wszystkie te wydatki i koszty na siebie. O ile jednak rzecz daje się załatwić polubownie, bez procesu, to fabrykanci ubezpieczeni, względnie towarzystwa asekuracyjne, wypłacają w razie śmierci przy pracy wdowie lub dzieciom robotnika przeważnie sumę równą 1,000 razy wziętemu zarobkowi dziennemu, jeśli zaś pozostali tylko rodzice ofiary, to połowę tej sumy. Na wypadek całkowitej niezdolności do pracy suma ubezpieczona wynosi przeważnie zarobek dzienny, wzięty 1,500 razy, lecz wysokość wypłacanej renty rocznej zależna jest od wieku poszkodowanego; jeżeli wypadek zdarzył się w 30 roku życia np., to wysokość renty podają na 30% zarobku, w 60 r. życia — na 50%; kalectwo częściowe tylko powoduje zredukowanie odszkodowania do 25%, nawet do 10% sumy ubezpieczonej. W razie chwilowej niezdolności do pracy kompania wypłaca umówiony zasiłek dzienny przez 200 dni najwyżej. Normy te ustaliły się nie odrazu, lecz stopniowo, i obecnie zdają się zabezpieczać fabrykantów dostatecznie od ewentualnych wyroków sądowych. Robotników, ubezpieczonych w ten sposób, było w pierwszym roku asekuracyi (1888 r.) tylko 40,196, a w roku 1898 — 685,000.

Obowiązek fabrykantów zapewnienia pomocy lekarskiej robotnikom opiera się na prawie jeszcze z d. 20 sierpnia 1866 r. Prawo to nosiło w chwili ogłoszenia charakter prowizoryczny, jednak przetrwało dotychczas, ale wykonywane jest bardzo niedokładnie i, podług p. Dementjewa, wymaga koniecznie reformy. Nakazuje ono fabrykom utrzymywać osobne szpitale, tak aby jedno łóżko przypadało na 100 robotników, zatrudnionych w fabryce. Rady gubernialne w sprawach fabrycznych i górniczych tłomaczą przeważnie prawo to w ten sposób, że upoważniają fabrykantów do zawierania układów z ziemstwami, zarządami miejskimi albo towarzystwem Czerwonego krzyża, na mocy których te instytucye za odpowiedniem wynagrodzeniem podejmują się niesienia pomocy lekarskiej robotnikom danej fabryki.

Co do wykonania prawa, to znajdujemy statystykę, dotyczącą tylko samych fabryk (nie zaś kopalni), pozostających pod kontrolą inspekcyi fabrycznej. Otóż tylko 1,028 przedsiebiorstw wykonywa w stopniu zadawalającym przepisy prawa, czyli albo posiada własne szpitale (jak np. wspaniały szpital przędzalni Romeńskiej w gub. Moskiewskiej), albo zawarło umowy z wymienionemi instytucyami specyalnemi. Jest to więc tylko 5% wszystkich przedsiebiorstw fabrycznych, ale za to są to fabryki największe i zatrudniają razem 579,000 robotników, czyli 40% ogółu robotników fabrycznych. Tu koszt pomocy lekarskiej, ponoszonej przez przedsiebiorstwo, wynosi przeciętnie 6 rb. 57 kop. na głowę robotnika rocznie.

Druga kategorya, 1,913 fabryk, czyli 9,3%, zatrudniających 397,000 robotników, czyli 27%, posiada tylko ambulanse lub infirmerye chwilowe, z których chory bywa przenoszony do domu lub do szpitala publicznego; często dzieje się to za zezwoleniem rady gubernialnej, inspekcyjnej. Koszt wynosi tylko 3 rb. 35 kop. na głowę robotnika. Trzecia kategorya utrzymuje tylko lekarza, zrzadka odwiedzającego chorych, co kosztuje tylko 2 rb. 5 kop. na głowę; tych fabryk jest 547, czyli 3%, a pracuje w nich 40 tys. robotników (również 3% ogółu). Wreszcie 15,804 fabryk, przeważnie pomniejszych, czyli 82%, zatrudniających 406,000 robotników (30% *ogółu*) nie udziela swym robotnikom — wbrew prawu — *żadnej* pomocy na wypadek choroby.

Sprawa mieszkań robotniczych ma w Rosyi charakter nieco odmienny, niż w Europie Zachodniej. Ze względu na to, że fabryki często mieszczą się po wsiach, gdzie nie starczyłoby dla ludności robotniczej mieszkań prywatnych, znaczna część pracowników zajmuje lokale, należące do fabryki; czy to umyślnie na ten cel budowane koszary, czy nawet same lokale, w których się w dzień pracuje. Mianowicie w g. Moskiewskiej i Włodzimierskiej 49% robotników zajmuje pomieszczenie, należące do fabryk, 22% mieszka w domach własnych (są to więc wieśniacy okoliczni), a 29% w lokalach wynajętych. Inaczej zupełnie rzecz się ma w miastach, w samej Moskwie, w Petersburgu itd. A w gub. Piotrkowskiej, na 99,000 robotników ogółem, tylko 11% mieszka w lokalach fabrycznych.

W Rosyi środkowej mieszkanie fabryczne jest przeważnie bezpłatne; rzadko pobierana bywa opłata, wynosząca od 1 do 3% zarobku. W tem także widzi autor jedną z przyczyn niższości płac w guberniach środkowych w porównaniu z zachodniemi. Te mieszkania fabryczne pozostawiają bardzo wiele do życzenia, szczególnie ze względu na swą ciasnotę; w koszarach tych rzadko przypada sążeń sześcienny powietrza na osobę, zwykle połowa tej przestrzeni. A przecież mieszkania prywatne, zajmowane przez robotników, są cztery razy ciaśniejsze i wogóle, podług wszystkich ankiet, do tyla jeszcze gorsze, że pozbawienie robotnika mieszkania fabrycznego, nawet płatnego, bywa w guberniach centralnych jednym z najlepszych środków dyscyplinarnych w rękach fabrykantów.

Wreszcie wzmianka należy się szkółkom, istniejącym przy fabrykach. W 60 guberniach razem w r. 1899 istniało ich 446, z tych 390 jednoklasowych. Uczęszczało do nich 44,000 dzieci robotników, w tej liczbie 4,307 dzieci, które i same pracowały w fabryce, a więc tylko najwyżej 1/7 dzieci tej kategoryi. Koszt utrzymania tych szkółek przez fabrykantów wynosi 787,800 rb. rocznie.

K. Kr.

*) Ob. *Prawda* nr. 41 z r. b.: „Polepszenie bytu klas pracujących.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ogłoszone zostało wyjaśnienie senatu, że prawo korzystania z biletów legitymacyjnych na przejście granicy przysługuje wszystkim mieszkającym stale w pasie pogranicznym 21-wiorstowym.

— W Pilznie stowarzyszenie kobiet czeskich urządziło obchód 25-ej rocznicy pracy literackiej Maryi Konopnickiej. Program obchodu wypełniony był wyłącznie utworami polskimi. Także uroczystość urządzu w Lublanie d. 7 grudnia r. b. grono kobiet miejscowych.

Z Poznańskiego. Sąd w Bytomiu skazał redaktora *Górnoślązaka*, Szendzielarza, na pół roku więzienia za obrazę pastora Winklera w Szobiszowicach, który był przewodniczącym jakiegoś niemieckiego stowarzyszenia, redaktora zaś, Jana Bednarskiego, na 3 miesiące więzienia za obrazę proboszcza Abramskiego, wskutek tego, iż ten zwalczał tendencye *Górnoślązaka*.

— *Kuryer Poznański* podaje wiarogodną wiadomość, że kuratoryum Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu, po porozumieniu się z rządem, zmieniło statut biblioteki w ten sposób, że urzędnikami jej mogą być osoby, które wykażą, że mieszkają od 10 lat w Księstwie; pierwotnie odpowiedni artykuł statutu głosił: „kandydat powinien być urodzony w Poznańskiem.“

Szkoły i wychowanie. Powstał projekt oddania wszystkich zakładów naukowych pod zarząd ministeryum oświaty.

— *Now. Wr.* donosi, że z początkiem roku 1903 postanowiono podwyższyć pensye profesorów uniwersytetu o 20%.

Wiadomości naukowe. Komitet zarządzający Kasą pomocy naukowej imienia J. Mianowskiego, w wykonaniu woli Z. Pileckiego, lekarza, który na rzecz Kasy zapisał fundusz wieczysty, z przeznaczeniem procentów na coroczne wynagradzanie autorów prac, ku pożytkowi ogólnemu drukiem ogłoszonych, z dziedziny dziejów narodu polskiego, jego języka, literatury i prawa, jak również matematyki i nauk przyrodniczych, z procentów za rok 1902 przyznał p. Zygmuntowi Glogerowi nagrodę za pracę pod napisem: „Encyklopedya Staropolska Ilustrowana,“ tom II, i p. Henrykowi Wiercieńskiemu za pracę p. t. „Opis statystyczny gubernii Lubelskiej,“ — w Warszawie, w 1901 drukiem ogłoszone.

— Znany podróżnik Fritjof Nansen, wybiera się w roku przyszłym do Grenlandyi i lądu Króla Wilhelma. Celem podróży mają być badania nad biegunem magnetycznym.

Ze sztuki. Z nadesłanych na konkurs, ogłoszony przez Muzeum przemysłu i rolnictwa, projektów nowych budowli tej instytucyi, wyróżnione zostały przez komitet dwie prace, których autorami są p. Bronisław Żochowski i p. Franciszek Lilpop. Komitet Muzeum nabył te dwa projekty, a jednocześnie postanowił porozumieć się z p. Stefanem Szyllerem, autorem projektu, odznaczonego nagrodą pierwszą, o przyspieszenie budowy gmachów, których koszt wyniesie około 120,000 rb.

— Tow. krakowskie „Polska sztuka stosowana,“ z inicyatywy drukarni Piotra Laskauera i Sp. w Warszawie ogłasza konkurs na inicyały i ozdoby drukarskie o charakterze swojskim, na warunkach następują-

cych: Nagrodzony zostanie najlepszy komplet inicyałów, składających się z 24 liter, o motywach oryginalnych, zgadzających się w charakterze ogólnym (nagroda 150 rb.), oprócz tego, nagrodzony zostanie najlepszy komplet ozdób drukarskich, składający się z 15 rysunków (nagroda 75 rb.). Ozdoby drukarskie mogą być komponowane, bądź jako samodzielne ornamenty, bądź jako ich części składowe; byłoby pożądanem, ażeby przez ich powtórzenie lub układanie w rozmaitych kierunkach można było utworzyć dowolny ornament. Rysunki zarówno inicyałów, jak ozdób drukarskich, winny być robione tuszem czarnym i wykończone w naturalnej wielkości, albo do zmiejszenia: inicyały do 4×4 cm., ozdoby drukarskie do 3×3 lub 2×2 cm. Ogłaszający konkurs, po za nagrodzonymi rysunkami, ma prawo nabywania nadesłanych pojedynczych ozdób drukarskich, przez sąd konkursowy poleconych, po cenie 5 rb. Nagrodzone prace stają się własnością ogłaszającego konkurs, który ma nadto prawo pierwszeństwa w nabyciu innych prac wyróżnionych. Oprócz nagrodzonych, mogą być niektóre prace wyróżnione. Wzory nadsyłać należy pod adresem Towarzystwa (Kraków, Wolska 14) do d. 10 stycznia 1903 roku.

— W Salonie artystycznym otworzono wystawę akwarel artysty-malarza Kazimierza Przyszychowskiego.

Literatura i prasa. Z Chrystyanii donoszą, że głośny powieściopisarz norweski, autor „Głodu,“ Knut Hamsun, zginął bez śladu od czasu wydania ostatniego swego dzieła p. t. „Munken Vendt.“

Sprawy ekonomiczne. W marcu r. p. odbędzie się VI zjazd ogólny przemysłowców górniczych Królestwa Polskiego, z udziałem przedstawicieli kolei żelaznych i różnych instytucyj, mających związek z przemysłem górniczym. Oprócz spraw, dotyczących głównie rozwoju górnictwa, program zjazdu obejmuje wnioski o zabezpieczeniu górników na wypadek choroby, starości lub niezdolności do pracy.

— Powstał zamiar urządzenia w Paryżu wystawy wszechświatowej w r. 1911.

Koleje i komunikacye. Z początkiem roku przyszłego obniżony będzie koszt przesyłek pieniężnych: ubezpieczenie zamiast $^1/_2$ kop. od każdego przesyłanego rubla, wynosić będzie: od sum do 600 rub. — $^1/_4$ kop. od rubla, od 600 do 1,600 rb. — $^1/_8$ kop., z dodatkiem 75 kop. za całą przesyłkę, od sum zaś powyżej 1,600 rb. — $^1/_{16}$ kop. z dodatkiem 1 rb. 75 k.; od przekazów pocztowych opłata wynosić będzie: poniżej 25 rb. — 15 kop., od 25 do 100 rb. — 25 kop., od 100 do 125 rb. — 40 kop. i od 125—200 rub. 50 kop.

— W *Gaz. Polskiej* czytamy: Na odnodze Terespolskiej kolei Nadwiślańskich, podróżni jadący z dalszych stacyj w obu kierunkach, wykupywali czasem bilety od stacyi Mrozy, a stąd dopiero do celu podróży. W ten sposób korzystali z ulgi, ustanowionej dla ruchu podmiejskiego. Przejazd np. klasą 3-cią od stacyi Biała do Warszawy bezpośrednio wynosi rb. 2 kop. 29, przy kupnie zaś biletu do Mrozów i od Mrozów do Warszawy tylko rb. 2. Zarząd kolei obecnie zabronił sprzedaży biletów osobom przejezdym. Przed kilku dniami w pociągu popołudniowym 40-tu podróżnym kazano zapłacić za przejazd z Mrozów do Warszawy po rb. 1 kop. 40.

— Ministeryum komunikacyj wystąpiło z żądaniem wyznaczenia odpowiedniego funduszu na pogłębienie i uregulowanie rzek Wisły i Niemna.

Katastrofy. Wskutek wybuchu wulkanu Santa-Maria, w Gwatemali zniszczone zostały prawie doszczętnie miasteczka: Palmar, St.-Felice, Colombia i inne.

— W bliskości Nowej Zelandyi zatonął wraz z załogą parowiec angielski, wiozący z San Francisco do Chin 500 trumien ze zwłokami Chińczyków, którzy mieli spocząć na ziemi rodzinnej.

Odpowiedzi Redakcyi

P. Edwardowi Miran. W wierszu Pańskim niema wcale poezyi.

Prenumeratorce w Łodzi. „La Revue“ Paris, 12, Avenue de l'Opéra — rocznie franków 20 — dwutygodnik.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 8 Ноября 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.